



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIECI.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KSZTALCENIE KOBIECI.

Wychowanie córek przedstawia obecnie rodzinom kwestyą bardzo ważnego znaczenia: jaki ma być kierunek i zakres ich nauczania? Niegdyś było to zadaniem głównym, aby oświecenie umysłu rozjaśniło kobiecie drogę jej życia przez rozumny na nie pogląd, przez pojęcie życia tego obowiązku: pojęcie ich ważności w stosunku do zadań kobiety u domowego ogniska, co przecież zaczyna coraz więcej ulegać zmianie. Kobieta klas inteligentnych zaczyna pragnąć a zarazem i potrzebować kształcenia takiego, któreby jej pomogło w biegu życia do samodzielnej pracy na chleb, na zarobek, i oto wytwarza się niepokojące myślicielka zagadnienie: jaki kierunek mają przyjąć wyższe kobiece zakłady nauczania? Kobieta wykształcona naukowo, kobieta wiedzy wyższej, żąda i ma prawo żądać, aby wiedza ta, mozołnie nabyta, równała jej drogi życia, dawała jej chleb, na który chce i może pracować, przecież aż dotąd najwyważniejszą w tym zakresie gałęzią samodzielnej pracy kobiecej poza jakimś talentem szczególnym, co tu w rachunek wchodzić nie może, bo przedstawia rzecz wyjątkową, jest wyłącznie nauczanie. Nauczanie elementarne oddawna otwartem dla niej było. Dziecko według praw natury należy do kobiety, kobieta tylko potrafi je zrozumieć i być przez nie zrozumianą, ale ta, która słuchała kursu nauk uniwersyteckich, która pracowała mozołnie nad zdobyciem sobie wiedzy wyższej — wiedzy tego stopnia, jaką posiada mężczyzna, czyż ma pozostać zawsze na dole, zajmować miejsce niższe?

Więc należy otworzyć jej nauczanie wyższe w szkołach kobiet, usuwając z nich mężczyzn

professorów, i tu oto wytwarza się kwestya ważna, którą podniósł pedagog francuzki, Michał Bréal, zapytując: czy taki podział nauki na kobiecą i męzką wyjdzie na korzyść kobiety właśnie? W wyższych szkołach kobiecych we Francyi: w Sévres, w Fontenay już się tak stało ponieważ — już bardzo mało mężczyzn professorów wyklada tam jeszcze: i czy nie będzie to szkodą dla uczącej się, jeżeli żywił męzkiego umysłu, który jest ściślejszym, surowszym, a dodać trzeba: i głębszym, skoro rzecz bierze się na ogół, usunie się zupełnie z naukowego oświecania kobiety, mającej przecież kiedyś być towarzyszką mężczyzny i matką synów, których należy jej przygotowywać do życia?

Bréal uważa to za złe wielkie i żąda innego podziału pracy nauczycielskiej między kobietą i mężczyzną. Nauka języków powinna być zupełnie oddana kobiecie, która we Francyi przy wszystkich egzaminach z języków żyjących okazuje taką wyższość nad mężczyznami, że władze egzaminujące, nie chcąc upokarzać bardzo miłości własnej mężczyzny, urządziły dwie oddzielne listy stopni przyznawanych egzaminowanym. Nauczanie mieszane, to jest takie, w którym kobieta bierze w szkołach dziewcząt równy udział z mężczyzną, potrzebne jest uczącym się dziewczętom, nie dlatego, aby kobieta nauczycielka mniej umiała, ale dlatego, że umysł kobiecy inaczej naukę tę przyjął, inaczej na pryzmacie myśli swojej ją rozłożył, i w innych barwach pojęcie jej sobie przedstawił; należy zatem dla rozszerzenia kręgu pojęć i wyobrażeń uczących się dziewcząt, aby oddziaływały tu siły męzkiego umysłu, otwierając im przed myślą horyzonty pojęć swoich, więc rozszerzając sferę ich myślenia, a nawet uczucia, bo jedno postępuje tu za drugim. Czyż kobieta nie jest towarzyszką życia mężczyzny? Czyż te dwie istoty, mające iść razem przez życie, nie powinny być o tyle zbliżonemi do siebie, aby mogły czuć i myśleć podobnie — mieć jednakowe życia ideały?

Bréal kładzie też na to nacisk wielki, aby wychowanie, kształcenie kobiety miało na względzie tę stronę przyszłości jej życia, nie pomijając przecież różnicy zadań płci obu, w czem nie jest jeszcze dość ograniczyć się co do kierunków odbieranej przez kobietę nauki. Trzeba przede wszystkim przedstawić uczącej się różnice obowiązków życia mężczyzny, życia kobiety, wskazując zarazem harmonijne dopełnianie się jednych przez drugie, a wtedy nikt się tu nie będzie czuł wyższym, lub niższym i oboje krocząć będą drogą jedną, każde postępując stroną swoją, przyczem ręce ich powinny być splecione uściskiem gorącym.

Obok wpływów nauki są jeszcze oddziaływania edukacyjne znaczenia najwyższego — oddziaływania rodziców przez przykład własnego ich życia, i tu również występuje potrzeba wpływu obojga: ojca, matki. To, co nasz Wojciech Dzieduszycki nazywa „uczciwością domową“ jest tu stanowionem przez autora na planie wychowania najpierwszym, z tem zastrzeżeniem, aby kobieta i mężczyzna mieli jednakowe pojęcie tego, co się zowie moralną dostojnością człowieka. Matka w zakresie swoim tak tu działać może, działać powinna, jak i ojciec, a nawet ona to jest pierwszą piastunką ducha dziecka swego — ona budzi w jego piersi pierwsze uczucie miłości, ona daje mu pierwsze nakazy posłuszeństwa w stosunku do tego, co, rozszerzając się z biegiem lat, nazywać się dłużej będzie obowiązkiem. Bréal ostrzega też kobietę surowo, aby nie błędziła przez to, co ogólnie mianujemy zbytkiem miłości macierzyńskiej. Zbytku miłości niema nigdy i nigdy być go nie może, tylko trzeba, aby ta miłość najsilniejsza, najgorętsza, była, według nakazu apostoła, miłością rozumną, wiedzącą co jest zyskiem, co stratą istoty ukochanej, i tu występuje na plan pierwszy — wyższy, lub niższy pogląd kobiety na życie.

Matka kochająca miłością, która się zowie ślepą, jeżeli nie jest samolubną, zadowolonia wła-

snego serca tylko pragnąca, jest istotą nieświadomą tych stosunków życia, na których polega prawdziwe szczęście i dostojność jej dziecka. Bréal wraca też tutaj do potrzeby takiego wykształcenia kobiety, które mogłoby jej być podporą w trudach wychowania, bo wtedy jej rozum, jej rozsądek, podniesiony przez szersze pojęcie życia i jego przeznaczeń — dróg, które człowiek chodzi po ziemi, wykazałyby jej, gdzie jest prawa, gdzie lewa strona drogi istnienia ludzkiego, u których celu znajduje się jedynie szczęście prawdziwe.

Według zdania Bréala, na które zgodzić się musi każdy, zasługa dobrego uczynku, szlachetnego życia, zależy od świadomości postępującego w tym kierunku człowieka; trzeba też, aby matka umiała rozumnie uszlachetniać dobre instynkty dziecka przez wykazanie mu różnicy między złem a dobrem, przyczem należy jej rozniecić w sercu młodem uczucie sprawiedliwości. Kto sprawiedliwym być umie — kto zdoła podnieść się przez szlachetne uczucie bezstronności nad interes własny, nad miłość własną, ten tylko ma prawo do zasługi, wtedy jedynie prawdziwej, kiedy z tego szlachetnego uczucia wypływa. Lecz na to — na to szczególnie, trzeba mieć o ludziach i rzeczach ten sąd sprawiedliwy, na który nic postronnego oddziaływać nie powinno: nawet liłość, nawet dobroć serca, i Bréal kładzie nacisk silny na umysłowe wyrobienie kobiety, żądając przeciwieństwa, aby tu był dopuszczony mężczyzna, umiejący podnieść przed rozumem uczennic obowiązek sprawiedliwości bezwzględnej, na którą kobieta trudniej zdobyć się może. Cień to jest jej cnót, jej dobroci serca, przeciwieństwa, który zwolna sprawić może wszystkie dobre strony jej istoty i sprowadzić ją z tego piedestału wyższej godności ducha, na którym stać umiała. Nasze przysłowie: — Z kim kto przestaje, takim cię staje... jest wielką prawdą moralną; ocierając się o ludzi niższej wartości ducha, tracimy zwolna uwielbienie dla cnoty wyższej, dla dostojności życia nieskalanego nigdy słabością, zachwianiem się w obowiązku, przy którym stać nam się godzi i dla wyrobienia w kobiecie tej siły moralnej, którąby ją umiała tu podtrzymywać, żąda pedagog francuski nauczania mieszanego.

Żywioł męzki doda tu coś hartu, rozbudzi energią umysłu, za którą pójdzie energia uczucia, a wreszcie energia woli i, jak w rodzinie ojciec i matka wytwarzają razem przez wychowanie moralną istotę dziecka, tak szkoła z nauczaniem mieszanem nie odbierze młodemu dziewczęciu przymiotów i cnót jej kobiecych, nad których rozwojem matka czuwać powinna. Ta, której to jest przeznaczeniem, aby była towarzyszką życia mężczyzny, która wychowywać ma synów, nie może odgrodzić się od wpływów męzkiego myślenia, męzkiego na życie poglądu, bo czyż i mężczyzna nie bierze nie od kobiety: od matki, od siostry, od żony? Wielki poeta niemiecki nie myli się, kiedy wołając: — Czujcie kobiety... wykazuje w hymnie na cześć ich wyśpiewanym, co kobieta wnosi w życie mężczyzny.

M. I.

POGA WĘDKA.

Wyskoczyła niespodzianie, narobiła popłochu i podziąła się znów gdzieś, zniknąwszy zupełnie, czy też przyczaiwszy się tylko na naszym bruku.

Naturalnie, mówię „o tej chorobie“, której kilka wypadków zdarzyło się i u nas pod koniec zeszłego miesiąca; do szpitala przywieziono szypra, który zachorował i umarł, oraz wyrobnicę jakąś z Solca.

Berlinkę z ośmioma ludźmi, wśród których ów biedny jakiś Musiak przebywał, odosobniono, dezynfekowano i poddano kwarantannie; ludzie na niej odżywiani pod dozorem lekarskim mają się dobrze i nie chorują.

Co zaś do służącej, ta padła ofiarą własnej lekomyślności; pomimo niedyspozycji kilkodniowej poprzednio, jadła na noc baraninę z kapustą i napila się wody z Wisły.

W normalnych warunkach można się dostać do szpitala po takiej kolacji, a cóż dopiero w czasach epidemii!

Ta nieostrożność bywa jednak cechą dość ogólną, zwłaszcza pomiędzy kobietami u nas; jakas nerwowa brawura często idzie w parze ze zbytnią bojaźnią. Na perswazyje, zalecania, przestrogi macha się ręką, mówi: „et, co tam!... albo to prawda!“ i zjada się surowizny, owoce, pije wodę, a potem dostaje... boleści.

Inni, naodwrot znowu, boją się w ogóle wszystkiego, głodzą się, nieczego do ust wziąć nie chcą, oprócz środków prezerwatywnych i patrzeć nie mogą na śmiałków, jedzących z apetytem.

Bezpieczeństwo wszelako leży między temi dwoma krańcami, — nie przesadzać w niczem, chyba w utrzymaniu czystości, jak zalecał nieboszczyk Dr Starkman w swojej ostatniej broszurze.

Jak to tam będzie dalej z „tą chorobą“, Bóg raczy wiedzieć; według ostatnich buletynów głośnie jej ognisko w Hamburgu wygasa, ale za to rozbrzyźnęła się ona już po całej prawie Europie, nie wybuchając nigdzie epidemicznie, lecz sporadycznie, jak gdyby poszła na zwiady szukać dla siebie obozowiska.

U nas robi się wszystko, co można, nie szczeniąc kosztów, trudów, starań i, jak dotąd, wyniki tej przeczności są dostatnie.

Dla robotników powstały tanie jadłodajnie, kosztem miasta, zajętem przy kanalizacji ludziom rozdają zupę i herbatę, dla ubogich zakładają herbaciarnie bezpłatne, przygotowują szpitale dla ewentualnych chorych, zbierają fundusze na ratunek najbardziej potrzebne, zaprowadzają dezynfekcyę — cóż więcej zrobić można w walce z epidemią?...

W każdym razie nie zastanie ona Warszawy tak nieprzygotowanej i zaniedbanej, jak Hamburg.

Na wymienienie tego ostatniego miasta robi się zawsze jeszcze człowiekowi ekliwo na sercu i przechodzą go niemiłe dreszcze; bojaźliwsze natury, choć tam nie były w tych czasach, gotowe poddać się dezynfekcyi dlatego tylko, że im przez głowę przeszła sama myśl o stolicy bankierów i kupców nad Elbą.

Ta dezynfekcyja dla podróżnych wszelako, przybywających z miejsc epidemią nawiedzonych, nie należy weale do operacyj przyjemnych, jeżeli lekarzowi kommissyji sanitarnej na stacyach granicznych wyda się koniecznem przeprowadzić ją całkowicie na osobie wojażera, — bo wówczas leją mu rozcieńczony kwas karbolowy za kołnierz, wsadzają go do ciepłej kąpieli, nacierają całe ciało, i t. p.

Według „Kur. Warsz.“ odpowiednio do schludności i rodzaju passażerów postępują tak z nimi w Mysłowicach.

Można się temu dziwić, ale, uwzględnwszy, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże“, trzeba się z tem godzić.

Na porę nie bardzo odpowiednią rozpoczęła spółka rybacka nowe przedsiębiorstwo na naszym targu, które doskonale może mieć na przyszłość widoki, gdy potrawy rybne, marynaty i inne przysmaki w tym rodzaju wrócą na nasze stoły, jako rzeczy higienicznie dozwolone.

Oto rzeczona spółka wzięła się do kommissowej sprzedaży ryb, zawarłszy ugodę ze wszystkimi prawie większymi hodowcami i zgromadziła około pół miliona funtów rozmaitego rodzaju szczupaków, karpia, linów, karasi, i t. d. Od magistratu wynajęła wodozbiory po starych wodociągach, urządziła służbę do spławu ryb po Wiśle, i przed kilku dniami wystąpiła na targu do konkurrencyi z dotychczasowymi przepkupniami, ofiarując żywe ryby po kop. 20 za funt, t. j. o 5 — do 10 kop. taniej, niż inni sprzedają swój towar.

Zrobił się hałas i zamieszanie wśród straganów i kadzi; lepszy towar i tańsze ceny musiały przyciągnąć konsumentów.

W pierwszych dniach handel udał się doskonale: sprzedano 5.000 funtów w ciągu dwóch dni, czyli

cały zapas przywieziony na początek do Warszawy.

Tymczasem parowe pompy napełniają wynajęte baseny wodą, a gdy ta czynność ukończoną zostanie, znajdzie w nich pomieszczenie około 100.000 funtów rozmaitego gatunku ryb z trzydziestu sześciu stawów sprowadzanych.

Przy ulicy Dobrej tedy powstanie olbrzymia rybiarnia, w której przez cały rok odbywać się będzie hurtowna i detaliczna sprzedaż, przynosząca korzyść stowarzyszonvm hodowcom, dając im większe zyski, i konsumentom dostarczając świeżych, zdrowych i żywych ryb taniej, aniżeli dostarczano im dotąd na targach.

Jednem słowem: dobry interes zapowiada się pod każdym względem, byle go tylko jakie licho nie zepsuło.

Spółki u nas, niestety, nie miały dotychczas dobrej tradycyi i szczęścia; może się to jako odmieni, dzięki rybom.

W każdym razie podjęcie takiego przedsiębiorstwa na wielką skalę uważać można za objaw dodatni w naszych stosunkach handlowo-ekonomicznych, w których zawsze brak energicznej i śmiałej inicjatywy, a potem administracyjnych zdolności i praktycznego sprytu bywał przyczyną, że najlepsze pomysły w łeb brały naszymi własnymi rękoma.

Zanimieśmy się obliczyli, zorientowali, nakiwali głowami nad projektem tego lub owego prawdopodobieństwa, przechodził ktoś inny, najczęściej cudzoziemiec, belg, francuz, niemiec, amerykanin i zabierał nam interes zprzed nosa.

Od wielu lat mówiło się o pewnej niezbędnej wygodzie publicznej na ulicach i placach warszawskich, bez których żadne wielkie miasto, zwłaszcza skanalizowane porządnie, obejść się nie może; i cóż z tego?... zanim nasi kapitaliści i przedsiębiorcy zdecydowali się na wzięcie tego interesu w swoje ręce, francuzi uwinęli się i zaczęli już budować tak zwane „szalety“, z których będziemy korzystali za opłatą, a oni będą ciągnęli zyski.

I dobrze stę stało, bo sami nie bylibyśmy się tak rychło zdobyli na zadośćuczynienie potrzebie, którą odczuwali wszyscy na ludnych ulicach Warszawy.

Oj, przydałoby się nam bardzo kilku miejscowych Dewarsów, mających dobrą głowę na karku, a spryt i energią do przeprowadzania wielkich projektów, przedsiębiorstw, budowli, planów, puszczających w ruch duże kapitały i dostarczających tysiącom rąk zajęcia i zarobku.

O ten zarobek, figurowanie nazywany zwykle „kawałkiem chleba“, stara się każdy na swój sposób i w swoim kierunku, ale, niestety, jakże znaczny procent ludzi u nas zamało przygotowanych, albo źle pokierowanych nie może go zdobyć, z własnej najeższej winy.

Możnaby bardzo długo mówić w tym przedmiocie i trzeba by wiele drażliwych prawd rzucić sobie w oczy; poprzestanę jednak tylko na niektórych przykładach.

W zeszłym tygodniu „Kuryer Codzienny“ zamieścił artykuł p. t. „Za wiele kwiatów“, artykuł bardzo ciekawy i ważny, który porusza kwestyę owczego pędu w pewnych kierunkach, gdy chodzi o zdobycie tego „kawałka chleba“, zwłaszcza gdy się jednemu na takiej lub owakiej drodze zdobyć go raz powiodło.

W tej chwili garnie się za nim mnóstwo naśladowców i — powtarza się tasama zwykle historia: rozczarowanie i zawód, bankructwo i straty.

Zaczął ktoś robić pończochy i skarpetki, na których jako tako zyskał, gdy nie miał większej konkurrencyi, — oho!.. już tylko w pończosznictwie widzą ludzie ukryte majątki. Udało się komuś zrobić nie zły interes na kwaciarstwie; w ką pończochy!.. Kwiaty dają teraz chleba najwięcej. I tak dalej.

„A jednakże pomimo gorzkich doświadczeń, płynących z moralnego lenistwa, objawiającego się naśladownictwem, wiecznie wkraczamy na tę niewdzięczną i zwodniczą drogę, — powiada autor rzeczony artykułu i jako nowy przykład przytacza tak zwaną „sztukę stosowaną do przemysłu“, która polega na pacykowaniu pędzlem wachlarzy,

ekranów, nożyków do rozcinań kartek i przy-cisków.

Płeć delikatna zabrała się głównie do tych za-jęć, powstało kilkanaście zakładów rękodzielniczo-artystycznych i siedm szkół malarskich wyłącznie dla kobiet.

W zasadzie nie byłoby w tem nic złego; prze-ciwnie należałoby się tylko cieszyć z tego, że sobie kobiety znajdują nowe drogi praktyczne i nabywają specjalności, które im byt niezależny materialnie zdobywać pozwalają.

Są szkoły, są zakłady—tem lepiej; tylko niechaj one prawdziwą, rzetelną, faktyczną oddają usłu-gę, niech naprawdę uczą tak i tyle, aby ucznio-wie i uczennice, a głównie te ostatnie, wychodzi-ły z nich zawodowo wykształcone, aby ich praca następnie miała konkurencyjną wartość w han-dlu i rękodzielnictwach.

A tymczasem co widzimy?—pyta autor—i od-powiada takimi faktami:

„Otworzył ktoś w Warszawie fabrykę zabawek dziecinnych, lecz nie mógł znaleźć zdolnych pra-cowników do ich malowania; porcelany handel nasz sprzedaje wiele, a zdoła je albo cudzoziemcy, albo pracownicy wykształceni poza szkołą.

„Fabryka majolik w Nieborowie nie mogła zna-leźć u nas dobrych dekoratorek, a zakłady cere-miczne skarżą się na brak modelatorów.

„I tak, gdzie okiem rzucić, gdzie tylko uprawia się u nas przemysł z artystycznym zacięciem, nie ma pracowni dostatecznie wykwalifikowanych. Jest niby coś, a właściwie nie niema — młode adeptki sztuki stosowanej po parudniowej próbie w zakładzie konkurencyjnie prowadzonym, za-kładzie seryo, odchodzą—z niczem.“

Otóż wniosek ztąd łatwy: trzeba, żeby szkoły i zakłady odpowiednie stały na wysokości swego zadania, aby nie były przedsiębiorstwem li tylko, jak każde inne, zakładaniem przez osoby, którym się zdaje, że coś umieją i czegoś nauczyć mogą, ale aby były instytucjami we właściwym tego wy-razu znaczeniu.

Do szerzenia dyletantyzmu i partactwa dość się już przyczyniły; teraz gdy chodzi o zawodowe, gruntowne wykształcenie potrzeba czegoś więcej.

Prawda to, jak każda prawda, kolnie niejedno oczko, zwłaszcza w sferach interessowanych, ale dobrze się stało, że ją ktoś głośno wypowiedział, bo może otworzy znowu oczy tym, którzy ślepo wstępują na drogę owych niby praktycznych za-jęć, ludząc się, że czegoś się uczą, coś umieją, a potem przy doświadczeniach na seryo z rozczaro-waniem spostrzegają, że nie dorosli do swoich za-dań.

Zdolności, materiału podatnego nie zabrakłoby wśród tych powołanych i niepowołanych, byle tylko kierownictwo dobre i umiejętne się zna-lażło.

Szkoda przecież marnować tego.

Jest to w ogóle wielką wadą naszego charak-teru, że my tak mało przywykliśmy traktować rze-czy na seryo, brać je gruntownie, przejmować się niemi nawskróś.

„Aby zbyć,“—oto najczęściej hasło nasze w każ-dym niemal kierunku i dlatego mamy tylu niedo-uczeków, dyletantów, partaczy w rozmaitych sfe-rach, warstwach i zawodach.

Tej solidności, jaką odznaczają się Niemcy, al-bo Anglicy i w nas samych, i w robotach naszych nie znajdzie.

Tej ambicyi ze swego zawodu, którą zarówno szewe, jak i artysta mieć powinien, aby naj-lepiej swój zawód znać, swoje dzieła tworzyć, swą sztukę wykonać potrafił, a przynajmniej chciał—także najczęściej brak.

Rzemieślnikowi nie idzie o to, by zadowolić swojego kundmana, tylko by mu obstalunek od-stawić za gotówkę o tyle śpiesznie i punktualnie, o ile sam potrzebuje pieniędzy, bo inaczej bę-dzie się mijał z terminem po kilka, a nawet kil-kanaście, razy.

Robotnik pracuje jakby z musu, bez przekona-nia, leniwo i powoli, gdy mu zwłaszcza „na czas“ płacą, a śpieszy się, robiąc „od sztuki“, by za-robić jaknajwięcej sobotnim sztychem na nie-dzielny targ.

I tak prawie wszędzie.

Są wyjątki, to pewna, ale co lepsze, zdolniej-

sze, zręczniejsze, pracowitsze i ambitniejsze, to, niestety, właśnie tylko do wyjątków należy.

Składa się na to wiele okoliczności, warun-ków, wpływów, które powoli zmieniają się na lepsze; zrozumieliśmy, że chcąc mieć zdolnych i pożytecznych ludzi, dobrych i specjalnych pracowników w zawodach praktycznych, trzeba ich kształcić odpowiednio;—zrozumiemy jeszcze, że i wychowywać ich odpowiednio potrzeba.

Praca to duża i reforma szeroka, ale przepro-wadzać ją należy nieustannie, aby powiększać stopniowo zastęp ludzi całkowicie wykwalifiko-wanych i odpowiedzialnych za siebie i swój za-wód.

Kiedy przeczytałem w pismach naszych wiadomo-ść o podjętym znowu projekcie założenia Towarzystwa opieki nad chorymi po domach, ucieszyłem się za tych wszystkich biednych sa-motników, dla których choroba jest klęską praw-dziwą i nieszczęściem podwójnie dotkliwym; ale zarazem przyszła mi na myśl wątpliwość, zka-d się wezmą owi dozorey i dozoreczynie cho-rych, którzyby umieli pielęgnować pacyenta i byli mu na prawdę pomocą przy łożu boleści, nie za-wadą—ulgą, ukojeniem, nie irytacją?...

Wybór będzie trudny, bo oprócz poświęcenia takie obowiązki wymagają i umiejętności, i wa-runków szczególnych.

Co do znaczenia i pożytku takiego towarzy-stwa dwóch zdań być nie może; spełniać będzie ono jeden z najbardziej chrześcijańskich i filantropij-nych celów.

Przed siedmiu laty odezwał się już pierwszy głos w tej sprawie, która poszła w odwłokę; obecnie zabrało się do niej znowu grono ludzi po-ważnych, godnych zaufania, lekarzy, prawników, redaktorów, jest zatem nadzieja, że projekt nie pozostanie tylko pocziwą myślą, ale i w dobry czyn się zamieni.

Projekta u nas tak rzadko znajdują wytrwa-łych wykonawców i opiekunów, więc z tem więk-szem uznaniem należy notować te, które dochodzą do skutku.

Zapisuje przeto w tem miejscu nazwiska pp. Janikowskiego i Jastrzębowski, jako szczęśli-wych i wytrwałych inicjatorów nowego Muzeum, które powstaje pod nazwą: „Nieustającej wszech-światowej wystawy etnograficznej.“

Nazwa nieco za szumna, jak na początek, ale może czasem okaże się całkiem właściwą dla zbiorów i okazów, które dzisiaj składają się tylko z przywiezionych przez p. Janikowskiego przed-miotów kultury, przemysłu, rękodzielnictwa róż-nych ludów afrykańskich, z związków muzeum etnograficznego przy nieszczęściwej pamięci zwie-rzyńcu warszawskim, oraz z bogatej kolekcyci „pisanek“, zebranych swego czasu przez pp. Zy-gmunta Wolskiego i Tadeusza Dowgirda.

Niezależnie od tego powiększany będzie stopnio-wo i urządzony dział etnograficzny Królestwa Polskiego i Cesarstwa.

Lokal już wynajęto przy Krakowskiem-Przed-mieściu w pałacu hr. Potockiego, a zatem w do-skonalem punkcie miasta, fundusze na pierwsze potrzeby i urządzenie wystawy są zebrane, cena bardzo przystępna po 10 kop. od osoby za miejsce ustanowiona, a zatem pozostaje tylko nowemu Muzeum życzyć powodzenia a jego inicjatorom powinszować.

Co też czynię z całego serca.

Quis.

WIECZÓR.

Niech się rozpostrze mój duch nad zorzami

I nad cichością wieczoru niech legnie;

I niechaj harfa napelni się łzami,

I niechaj z harfy smutna pieśń wybiegnie,

Smutna, jak duch mój. Swój niech spokój da mi Kwiat śpiący. Hardość myśli niech się zegnien, I niech przestanie ze światem się kłócić: Teraz nie mogę nic, tylko się smucić.

O! jak daleko chciałbym być od ziemi
Co, bezlitośna, zmęczyła mnie gwarem,
Jako duch nocy, co skrzydły srebrnymi
Nad tym wyniosłym waży się obszarem.
O, dajcie chwilę choć odpocząć. Złe mi!—
Niech raz wieczornym upiję się czarem!—
A przyjsz tu do mnie niech się nikt nie waży,
Bo ja mam harfy i zorzę na straży.

Tu n:glane lasy z krwawemi korony
W pas mi się chyłą i hymnami szumią;
Wiehry w tysięczne witają mnie dzwony,
A gdy odpowiem wiechom, to zrozumia
Śpiew mój na złote otchłanie rzucony;
Tu chmury srebrne do stóp mi się tłumia;
Tu, jako łabędź, pewny drogi, płynę!
Z purpur złożonych mam pierś! Tu nie zginę!

Tu jest harmonii wiecznej królowanie,
Tu się o bryłę złota nikt nie swarzy;
Tu brat na brata, jak zwierz, nie powstanie;
Tu niema haubą piętnowanych twarzy,
I harfa tu się nie rumieni za nie;
Tu niema mrących od nędz, ni grabarzy,
Którym w żrenicy trup łyzy nie obudzi:
Tu niema żądzi i krwi,—tu niema ludzi!

Choć chwilę jeszcze! — Znow przyjdę, znow siędę
Między harfiarze, pieśń ziemi grające:
I znowu z piersi krwawą nic wyprzędę,
I słowom skrzydła dam od grozy drzące,
I znow w nagrodę ludzki śmiech zdobędę,
I znow olbrzymy ujrzę konające,
I znow się skłócę z tym, kto wiecznie mota
I śmierci zbrodnię i zbrodnię żywota.

Mortan.

Lipiec 1892 r.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

Rzecz dzieje się o godzinie pierwszej z południa w sypialnym pokoju kawalerskim; rolety pospuszczane, portyery także, ciemno, jak w nocy, choć na dworze jasny dzień, słońca pełno i babie lato snuje się srebrną przędzą w powietrzu.

W tej ciemnicy na szerokim łożu i sprężyno-wych materacach, na poduszce puchowej i jaśku skórzanym, nakryty burką sławucką w czerwone i niebieskie pasy, w nocnej koszuli jedwabnej leży nawznak z rękoma podłożonemi pod głowę, Franek Gajski.

Lat ma dwadzieścia dziewięć, ale wygląda na trzydzieści kilka, nawet więcej; blondyn, oczy niby niebieskie, niby siwe, czasem jakby wyblakłe i powiedle bławaty, czasem znow świecą się i nabierają jakiejś nieokreślonej barwy, a czasem jakby weale ich nie było, tak się gdzieś zapadną w swoje głębokie doły.

Twarz ściągła, weale ładna, męzka twarz, nieco wychudzona, czoło szerokie, już podłysiałe, nos kształtnie zakrojony o delikatnie rzeźbionych nozdrzach, usta foremne, dolna warga troszeczynek-kę wystająca, wąsy od częstego muskania zwie-

szone ku dołowi, jak u suma spływają się z brodą, nie gęstą, nie długą, ale miękką jak jedwab i przystrzyżoną według ostatniej mody.

Włosy, może nieco za rzadkie, zwłaszcza na ciemieniu, zaczesane w tył od czoła mają swój naturalny, prawie złotawy połysk.

Cera blada, oczy dość często, prawie zawsze podkrojone sińcami, ale to nie, to im dodaje bardziej interesującego wyrazu, szczególnie kiedy są przysłonięte mgłą zadumy.

O Franku Gajskim kobiety mówią, że „musiał być kiedyś przystojny:“ przyjaciela jego Adaś Krempel, młody doktor, który z nim razem mieszka od lat kilku i zajmuje drugą połowę apartamentu ze wspólnym salonem, nazywa go „zdechlakiem.“

Rozumie się, że w porównaniu z nim Gajski wygląda na zdechłaka, mizerotę, chudzińca ze swemi wązkiemi plecami, szczupłą ale smukłą figurą; możnaby go z pozoru wziąć za suchotnika, choć nim nie jest, i płuca, a zwłaszcza żołądek ma zdrowy.

Wygląda tylko tak jakoś, jakby mu się nie wiele na tym świecie należało.

Za to Krempel sama siła i samo zdrowie; nie wysoki, to prawda, ale zbudowany tego, pierś wydatna, sklepiona, jakby ją kotlarz młotem wyklepał na kowadło, muskuły, jak ze stali, śliczne bicepsy gimnastyka wyrobione jak u atlety, ruchy żywe, zgrabne, głowa ładna ma w sobie coś młodzieńczego pomimo lat trzydziestu, włos gęsty, nieco kędzierzawy, oko ciemne, roziskrzane, usta pod wąsem w górę nastrożonym, jak rozłupany granat, a zęby zdrowe, że żelazo gryźć niemi, bródka w klin przystrzyżona, na policzkach świeża cera i rumieniec.

Łatwo takiemu drugim „zdechłakami“ nazywać. Dzień w dzień prawie powtarza się o południu tasama scena, co w tej chwili właśnie.

Krempel powraca ze szpitala, od swoich chorych i bez ceremonii idzie wprost do sypialni przyjaciela, aby go z łóżka wyciągnąć; otwiera drzwi, mierza wprost ku oknu, potykając się o stołki, na których leżą części garnituru Gajskiego, który ma zwyczaj, rozbierając się w nocy, rozkładać je na rozmaitych meblach, chodząc po pokoju; odgarnia portyery, podnosi rolety i otwiera czasem całe okno, czasem tylko lufcik dla wypuszczenia świeżego powietrza.

— Bój się Boga Franek — woła na niego, — dzień, jak byk, południe minęło, a ty śpisz jeszczel...

Gajski otwiera tylko oczy, nie zmieniając wcale pozycji, ziewa szeroko i mówi:

— Co tu kłamstwo i co słów zmarnowanych!... wiesz najpierw, że ja się nikogo nie boję a następnie, że mi to wszystko jedno czy dzień jak byk, czy jak słoń, czy jak mastodont, a nareszcie, że od godziny już nie śpię, tylko leżę, bo wstać mi się nie chce.

— Otóż to właśnie, że ci się nie chce! — oburza się młody lekarz.

— Ciekawym, dlaczego miałoby mi się chcieć?... dużo z tego świata przyjdzie, że jeden marny robak więcej będzie po nim laził o kilka godzin wcześniej czy później!... dużo mnie przyjdzie z tego, że się zerwę z łóżka, aby w nocy znów do niego powrócić. Marne życie!... Jakiś Anglik zrobił dowcip, iż życie to zapinanie i rozpinanie ale to wcale nie dowcip, to faktyczna prawda.

Przeciagnał się i mlasnął ustami z niesmakiem.

— Adam!... zobacz-no mój język dzisiaj!... biały?... co?... obłożony, paskudnie obłożony?...

— Jak zwykle z nocy; nie nadzwyczajnego.

— Kiedy się jakiś nie swój czuje...

— Zadługo sypiasz; wstawaj raniej, kładź się wcześniej, nie tłucz się, jak Marek po piekle, po całych nocach z kąta w kąt, żyj higienicznie; będziesz miał język malinowy.

— Jak ty.

— Jak ja i jak wszyscy zdrowi ludzie.

— Na co?

— Choćby na to, aby świat coraz więcej nie robił się podobnym do szpitala.

— Także!... a cóż to mnie może obchodzić do czego wasz świat podobny?...

— Ale twój obłożony język jednak cię obchodzi?

Gajski krzywi usta, podnosi brwi i ręką macha z lekceważeniem:

— Phil!... wszystko mi jedno.

Mówi to z jakąś determinacją spokojną, jak gdyby nieczego więcej od świata i od życia nie potrzebował, albo też sam nie wierzył swoim własnym słowom.

— No, wylaż raz zpod tej kołdry i chodź do śniadania,—woła Krempel, stojąc nad nim z rękoma założonemi i patrząc na niego z politowaniem.

— Kiedy nie mam apetytu.

— Jak codziennie, ale kiedy zwąchasz półmisek, to zjesz za trzech. Niby ja cię nie znam. No, wstawaj, leniu!...

Ostatnie słowa wymawia już za drzwiami, spiesząc do swego gabinetu, po drugiej stronie salonu, aby przerzucić kilka książek i broszur, przysłanych mu do przejścia z księgarni, zanim podadzą śniadanie, dla niego drugie, dla Gajskiego pierwsze.

Pomimo kawalerskiego stanu, prowadzą gospodarstwo; wygodniej im z tem.

Trzymają starego służącego, który ma przy sobie córkę i ta gotuje, a że była gdzieś we dworze przy kucharzu, umie nawet frykasy rozmaite i leguminy przyrządzać; jest przytem młoda jeszcze, wesola, i ma żywe czarne oczy, które jej się nieustannie śmieją, nawet do patelni, gdy na niej kotlety skwierczą.

Nazywa się Pietrunia, ale Krempel dla żartów przezywa ją Pietruszką, kiedy jest w dobrym humorze.

Ojciec jej, Anastazy Parzączka, był kredensowym jeszcze u rodziców Krempela w Chomiłowie, kiedy dzisiejszy pan doktor zaledwie do szkół zaczął chodzić.

Zjadł stara znajomość i pewne wyjątkowe względy dla dawnego panicza—i naodwrot.

Ponieważ Anastazy—to imię za długie na codzienny użytek, a Gajski szczególnieś miewa chwile takiego rozleniwienia i apatyi, że mu się mówić wcale nie chce, więc w pokojach wołają na starego służącego często tylko pierwszą literą imienia dla krótkości, lub też jego cząstką jedynie.

Krempel nazywa go „Stazem,“ Gajski poprzestaje na prostem: „A,“ gdy go potrzebuje.

— Staz, a co tam na śniadanie?—pyta właśnie pan doktor, zastawszy starego przy nakrywaniu stołu.

— Jest bulionik i zraziki.

Mówi to z miną tak zachęcającą, jak gdyby mu samemu ślinka szła do ust na wspomnienie przy smaków, które Pietruszka właśnie przyrządza w kuchni.

Z pokoju Gajskiego słycać dzwonek i wołanie:

— Al!... Al!... Al!... wody!...

Niktby nie przypuścił, że w tych wązkiech pierśiach „zdechłaka“ jest jeszcze tyle głosu.

— Po co pan sobie płuca zrywa!... — karci go stary sługa,—wpadając do sypialni z dzbankiem porcelanowym zimnej i blaszaną koneweczką gorącej wody do mycia; Gajski zimą i latem myje się w ciepłej wodzie, do której dolewa zwykle trochę toaletowego octu dla zapachu; czyni to z pogardą dla swojej zniewieściałości, ale powtarza:

— *Der Mensch ist ein Gewohnheitsthier!*... Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

Zresztą jest mu to wszystko jedno w gruncie rzeczy; mógłby się nie myć wcale, oszczędziłby sobie jednego nudnego zajęcia w życiu, które i tak jest najnudniejszą formą naszej egzystencji, licha wie w jakim celu.

Skoro się jednak raz przyszło na ten świat,—choć nikt się o to nie dopraszał,—to trzeba szukać najznajniejszych środków skracania sobie tej głupiej, bezcelowej wędrówki, jak powiada Grotwicz, kolega uniwersytecki Gajskiego, jego mistrz, mentor, ideał, wzór niedościgniony.

Grotwicz jest starszym od niego o lat kilka, ale skończyli razem kursa, bo Grotwicz zmarnował trochę czasu na przerzucaniu się z jednego wydziału na drugi; zdawało mu się, że zostanie przyrodnikiem, ale przyroda psu na budę się nie zdała przy bliższym poznaniu; pół roku był na medycynie,—także dyabła wart taki zawód!... zresztą, doktorów więcej wkrótce będzie, niż pacjentów.

Prawo mu nigdy nie smakowało.

Została filozofia, ot!... z tą jeszcze najwygodniej, choć nie bardzo praktycznie, ale człowiek ponad to bydlę, ponad tą trzodę ludzką się wznosi.

Wybrał tedy filozofią.

Na filozofa miał bo kilka doskonałych warunków; najpierw nazywał się Zeno, a to przecież imię niepospolite, nosiło je dwóch wielkich myślicieli, ojciec dyalektyków i patriarchy stoików—następnie miał fizyognomię, jakby od natury przeznaczoną dla takiego zawodu.

Szkoda, że przyszedł na świat w epoce, w której toga wyszła z mody; w todze byłby wspaniale wyglądał, udrapowany w klasyczne fałdy.

Miał do tego odpowiednią figurę i wzrost.

A twarz!... twarz Jowisza, który zapuścił brodę i długie włosy, jak lwia grzywa, koloru pieczonych kasztanów; nos miał orli z nozdrzami podniesionemi, jak skrzydelka u chrząszcza, zabierającego się do odlotu, oczy piwne, okrągłe raczej, niż podługowate, brwi zwichrzone, usta wykrojone jakby do ironicznego uśmiechu, który z nich nie schodził prawie nigdy.

Ma zwyczaj kłaść zwykle swą długą żylastą, trochę piegowaną, niepotrzebnie, rękę na brodzie z ruchem wspaniałym Mojżesza, którego rzeźbił Michał Anioł.

A kiedy się odezwie, kiedy zacznie mówić, możnaby przysiąc, że to jakiś głos obcy, pożyczony, nienależący do tegosamego człowieka; z tą poważną, surową, brodatą fizygnomią; tak na oko wydaje się, że z tą miną retora, filozofa, proroka, powinienby mieć organ głęboki, donośny, brzmiający niskimi tonami basu, a tymczasem jest przeciwnie.

Natura pokrzywdziła Zenona Grotwicza, dała mu jakiś dychawiczny tenor, w którym, gdy się zapali w dyskusyi, odzywają się nawet fałsety.

Cóż robić, doskonałości niema na tym podłym świecie,—jak powtarza Gajski przy każdej okazji, ile razy może splunąć na świat.

Zwłaszcza, kiedy jest w takim usposobieniu, jak dzisiaj!...

Dziś z przyjemnością dla psoty podziurawilby palcem niebo, jak to czynią pajace w cyrku z obręczami zaklejonemi bibułką, albo gdyby mógł, wziąłby całą ziemię w jedną rękę, w drugą ostry nożyk i obrał ją ze skóry, jak pomarańczę, razem ze wszystkim, co się na powierzchni znajduje, a potem rzucił tę skorupę gdzieś w przepaści bezdenne: niechby leciała wieki całe na dół, na dół i nie mogła dolecieć nigdzie.

Rozumie się, zrobiłby to wszystko dopiero po bulionie i zrazikach, o których mu wspomniał przed chwilą Anastazy, mrużąc pod nosem:

— Bo-by pan wdział raz ten szlafrok i poszedł do stołu!... Pan doktor czeka głodny, a śniadanie gotowe.

Gajski z rącznikiem w rękę stoi na środku pokoju, obciera sobie powoli jeden palec po drugim z automatycznym ruchem sennej lady Macbeth, patrzy na Anastazego i myśli; wygląda przytem trochę naprawdę, jak lunatyk.

Zdaje się, jakby w tej chwili nie rozumiał znaczenia tak pospolitych rzeczy, jak bulionik, zraziki, śniadanie, głód...

Nie przeszkadza to jednak, aby nie miał pójść do stołowego pokoju i jeść; będzie jadł pomimo tej głębokiej zadumy, bo przecież człowiek nie myśli żołądkiem, ani nie trawi głową.

Jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Franek, o czym ty tak myślisz? — woła na niego z salonu Adam; — ruszajże się, nie śpij chodzący!

Gajski nie zwraca i na głos przyjaciela żadnej uwagi; patrzy na niego z pobłażliwością, przyzwyczajony do takiego traktowania, z którego sobie niewiele robi.

— Co to jednak za słabe stworzenie z człowieka! — mówi, jakgdyby w dalszym ciągu głośno myśleć zaczął.—Automat!... No, i niech mi kto powie, po co i dlaczego ja wstałem, kiedy mi się wcale wstawać nie chciało? Wpadł taki wariat jeden a potem drugi, zrobili mi sugestją wstawania i dyabli wzięli wolę. Nie chciałem się przez cały dzień dzisiaj podnieść z łóżka,—wstałem; nie miałem żadnej chęci umyć się,—umyłem; nie chce mi się jeść,—czuję jednak, że siądę do stołu i, jak

bydłę przy żłobie wezmę się instynktownie do obroku. I to jest człowiek, stworzenie, obdarzone wolną wolą i samowiedzą!...

— Co ty tam mamroczesz pod nosem?... Staż! zanieście pana Gajskiego do stołowego pokoju.

— Kiedy jeszcze nie ubrany.

— No to cóż?... zawińcie go w kołdrę, jak małe dziecko i przynieście na rękach.

— Takżeby się wybrał! ani myślę.

W przedpokoju dał się słyszeć dzwonek.

Anastazy rzuca serwetę, którą przecierał talerze, i idzie drzwi otworzyć.

— Pan wstał?—pyta głos Grotwicza, na którego brzmienie Gajski ożywia się nagle, jak zgalwanizowany.

— Wstał!... wstał!... — odpowiada sam ze swojej sypialni—chodź!... za chwilę będę ubrany. Zjesz z nami śniadanie. Dobrześ zrobił, żeś przyszedł.

Zeno w kapeluszu na głowie, w okrywece długiej po kolana, z laską w rękę, z książkami pod pachą, z plikiem papierów wystających mu z kieszeni wchodzi bez ceremonii do salonu.

— Czołem! — powiada do Adama, podając mu swą żylastą rękę—jak się macie?... Cóż ta amfibia robi? — pyta, wskazując głową ku drzwiom Gajskiego.—Jak się masz próchno ludzkie?... świecisz jeszcze w ciemności?... Słuchaj-no, jam tu z interessem wpadł do ciebie. Myślałeś, że z dobrego serca, z przyjaźni, z miłości bliźniego?... a jakże!... Musisz mi dać na kilka dni swojego Tauberta.

— „Pessimismus und seine Gegner“?...

— Uhm!... odniosę ci, tylko zagładę do niego. Mam tu całą pakę nowości dla ciebie; będziesz używał, śledziu, w całym morzu. No, wyjdźżeż raz z tej swojej nory!...

Gajski, uczesany, w szlafroku z kołnierzem jedwabnym niebieskiego koloru, w płytkich botynkach z surowej skóry i czarnych skarpetkach, wychodzi na powitanie przyjaciela i mentora.

— Cóż ci tak śpieszno? — pyta, zatrzymując go—rozbierz się i siadaj z nami do stołu.

Grotwicz z pogardą spogląda na niego i kiwa głową:

— Oj, sybaryto, sybaryto!... ty chcesz, żebym ja żył, jak prosty pieczeniarsz, i wylizywał twoje talerze?... znajdziesz sobie innych piesków na to. Zresztą, ja jestem po swoim obiedzie.

— Tak wcześnie?

— A tak.

— Gdzież ty jadasz teraz?

— Gdzie się zdarzy; czasem w taniej kuchni, a czasem u Brühla. To mi różnicy żadnej nie robi. Ty mnie znasz, ja tam nie umiem rozróżnić oślego mięsa od pulardy. Pakuję, co pod ręką i drwię sobie z takich idyotów, jak Brillat-Savarin.

Krempel spogląda na niego z pod oka i uśmiecha się.

— Zatem nie wierzysz pan aforyzmowi: „powiedz mi czem się żywisz, ja ci powiem, kim jesteś“?

— Bzdury!... sofizmat! nie wytrzymał żadnej krytyki. Co brzuch ma wspólnego z geniuszem?... Napoleon wielki był genialną bestyą, to przyznacie, a nie miał pojęcia o gastronomii.

— I jakby dla ironii umarł na raka w żołądku,—dodaje Krempel; — żeby przynajmniej był smakoszem w życiu!

Grotwicz, ciągle w swoim miękkim, filcowym kapeluszu z dość pomiętą kryzą na głowie, przysiadł się bokiem do stołu, przyczem strąca na ziemię jakieś album z fotografiami, ale nie uważa za stosowne schylić się po nie; zapomina, że wpadł tylko na chwilę, i gotów jest do dysskussji.

Z przyjemnością zmassakrowałby trochę Krempla, z którym politykuje, ale nie lubi go; jest on dla niego za zdrowy, za wesoły, zanadto uśmiechniony. Czuje zresztą, że mu nie imponuje taksamo, jak Gajskiemu, który gotów przysięgać na każde słowo swego mistrza.

Nieraz się już starli ze sobą, i to ostro, bo Krempel rzadko miesza się do rozmowy, ale, gdy trzeba, zdania swego w bawelnę nie obwija.

Znosi Grotwicza ze względu na Gajskiego; inaczey nie przyjmowałby go u siebie i nie zapraszał do swego stołu; rażą go krańcowe zdania filozofa, rażą manieri zaniedbane, w których jest trochę umyślnej pozy przy braku staranniejszego wycho-

wania. Zeno bowiem gardzi wszelkimi formami, ale drażliwym jest, gdy kto ich względem niego nie zachowuje.

Niech Bóg broni, żeby mu się ktoś pierwszy nie uklonił, albo pominął go gdziekolwiek!... gotów mu potem za plecami od kundłów i ignorantów nawymyślać.

Anastazy dostawił trzecie nakrycie i po raz dziesiąty powtarza we drzwiach do stołowego pokoju:

— Proszę panów, bulionik stygnie!... a cóż to za skaranie Boże dzisiaj z tem śniadaniem!...

Gajski bierze Grotwicza pod ramię i zabiera siłą do stołu; trudno mu zawsze rozstać się z przyjacielem; chciałby go mieć najdłużej przy sobie i chwycić każdy wyraz z ust jego.

— Kiedy chcecie koniecznie, to siadę z wami, ale jeść nie będę—mówi Zeno, ulegając natarczewemu zaproszeniu—ot, wina mi dajcie.

— Staż!... kieliszek dla pana, — kommanderuje Krempel, uzbrojony już nożem i widelcem.

Grotwicz nalewa sobie sam kieliszek Bordeaux i mlaska językiem, jakkolwiek twierdził, że nie jest smakoszem i wszystko mu jedno, co zjada lub wypija.

— Doskonałe!...

Nalewa powtórnie i jakby sobie coś przypomniał, stawia butelkę nagle i pyta:

— Słuchaj-no, kto tu u was mieszka w oficynie na drugim piętrze?...

— Dlaczego?...

— Spotkałem jakąś blondynkę w bramie, która poszła na górę...

— Blondynka, z niebieskimi oczyma?... w granatowym okryciu?...

— A może; tak szczegółowo jej się nie przyglądałem. Cóż to za samiczka?...

Krempel chrząka, jakby mu co w gardle stanęło, Gajski zaś obojętnie kraje mięso i mówi:

— To zapewne Genia Pawłocka; znam ją tylko z widzenia; ale Adam tam leczy kogoś, to ci może więcej powiedzieć.

Grotwicz pogardliwie wrusza ramionami.

— Nie ciekawym. Ty wiesz, że kobiety mnie tyle obchodzą, co śliwki na straganie. Kupię i zjem, gdy przyjdzie apetyt, ale przypatrywać się im nie mam czasu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, 22 Września 1892.

Ponad wszystkimi zabiegami i zajęciami góruje dziś obawa przed ponurem widmem cholery, dobrze i wielokrotnie już znanej naszemu miastu, które mianowicie w r. 1866, po wojnie austriackiej, dotkliwie azyatyckim pomorem nawiedzonym zostało. Spodziewano się złowrogiego gościa od Wschodu, z tamtej strony głównie się warunkując, kiedy tymczasem zabiegł on niespodzianie od morza, dłuższy cień rzucając na miasto portowe, mające tysiączne sposobności do zetknięcia się z naszą dzielnicą. Szlak to główny odpływu emigracyi zamorskiej, której księstwo tak znacznego dostarcza żywiolu. A nie tylko wychodźcy do Ameryki ku Hamburgowi śpieszą. Wytkniętą przez nich drogą idzie niemało naszych robotników, świadomych łatwego i licznego zarobku w portowych warsztatach. Niema prawie osady w Poznaniu, któraby nie miała w Hamburgu kilku lub kilkunastu swoich, zabiegłych tam w nadziei szybszego zysku, który istotnie nie zawodzi pracujących i krzepkich tutejszych wieśniaków. Ztąd ustawiczne stosunki, listy, przesyłki; w tej zaś chwili, gdy zaraza nad handlem zaciężyła, mnóstwo fabryk zamknięto i robotników rozpuszczono, nastąpił hurtowny powrót ich ku własnemu ogniskom, z wielkim ztąd niebezpieczeństwem dla okolic, w które—mogą przenieść epide-

mią. Jakoż tu i owdzie już wystąpiły sporadyczne wypadki, będące stale w związku z powrotem jakiego czasowego wychodźcy z Hamburga. Tu atoli wystąpiły władze z chwalebna energią i praktycznością. Podziwiać potrzeba nadzwyczajną zabięgliwość polieyi, która wszystkie możliwe zarządziła środki, aby idącą zażegnać kleskę. Surowo przepisana dezynfekcyja, kwarantanny, badanie wody w studniach i zamykanie niepewnych, straża bezpieczeństwa — wszystko przedsięwzięto, co tylko rozsądek nakazywał, aby uniescować, a wrzecie nieszczęścia, zwalczyć zarazę. Militarizm przemagający w pruskich stosunkach wystąpił i tutaj ze ścisłością rozkazów i wykonania. Jak komendant twierdzy lub wódz zbrojnych szeregów w przededniu sztarmu lub walki wszystko ubezpiecza i opatruje, tak i wobec możliwości moru, wszystko też z góry obmyślano i przygotowano, do tego stopnia, iż w każdej wsi nakazano przysposobienie osobnej chaty lub zbudowanie ustronnego dla chorych baraku, naznaczono ludzi, którzyby służbę przy zarażonych i umarłych pełnili, wytknięto ementarzysko dla cholerycznych, a nawet tam gdzie władze rozwinęły więcej pedantycznej gorliwości, wykopano doły mające odrazu pochłonać pierwsze epidemii ofiary. Te wszystkie nadmierne przygotowania mogłyby się wydać dzieciństwem, gdyby nie świadczyły o rozumnej czujności, przeszkadzającej niezawodnie rozprzestrzenieniu się cholery po wsiach i miasteczkach naszych, które w r. 1852 istotnie straszny mór zdziesiątkował.

Jednej tylko nie przewidziano rzeczy: oto, że sute wynagrodzenia przyrzeczone ochotnikom pełniącym służbę przy cholerycznych w Hamburgu przyciągną do siedliska epidemii cheiwyich zysku amatorów, pragnących ciągnąć korzyść z własnej odwagi. Nieznający lęku chłop poznański głównie się odznaczył na polu srożące się zarazy, a że płacono po 15 marek i więcej za bezpośrednią posługę szpitalną i ementarną, nietylko wielu z tych, których cholera zastała w mieście, okazało gotowość swoją, lecz i wieść o niebywałym sposobie szybkiego zarobkowania zawróciła ku Hamburgowi tych, którzy już byli opuścili nawiedzone grodzisko. Tymczasem opanowany, oile się zdaje, nieprzyjaciel zaledwie ostrzeliwać pozycye sobie pozwala, tu i owdzie pada grom pojedynczy, nigdzie dotąd nie słyhać o rozpościeraniu się złego.

Ożywienie jesienne w tej porze zjazdów poszczególnych stowarzyszeń, oczywiście nie dopisało skutkiem groźb cholery. Zanim się przecie one pojawiły, mieliśmy już zjazd przemysłowców, radujący znaczną liczbą uczestników i nastrojem rozpraw; głoszone na nim zdrowe zasady pracy, porządku i solidarności. Wieczorem na wspólnej zabawie, stanęło pięćset osób do poloneza, co daje najlepszą miarę nadspodziewanie licznego udziału przemysłowców. Wcześniejszy nieco zjazd śpiewaków, odbyty w Chełmnie, dał nowy poehop związkom filarmonicznym i zachęcił do uprawiania sztuki, która dotychczas u nas leżała odłogiem, podczas gdy Niemcy wszędzie zakładają towarzystwa muzyczne i chóry. Cieszy nas budzące się i między nami poczucie piękna muzyki i śpiewu. Poznaniańskie, zaprzątnięte przeważnie praktycznymi zabiegami i piastowską w roli robotą, stosunkowo niewiele dotąd hołdowało sztukom, ani też nie posiadało znaczniejszego jej ogniska. Znalazły się tu dzieła pędzla Fałata, Kochanowskiego, Ajdukiewicza, Bilńskiej, Rapackiego, Podkowińskiego, Tondosa i wielu, wielu innych. Pochwałski rozpoczął już portret pani domu, Róży z hr. Potockich, 1-o voto ordynatowej Krasińskiej, 2-o voto Raczyńskiej, a zamiłowanie i znanstwo hrabiego Raczyńskiego mnoży coraz-to nowe nabytki do bogatej już galeryi.

Zresztą, okrom sztuki, zbiegują się tu nadto spotegowane tętna umysłowego ruchu, pamiątek i zabytków. Niedawno wracający z Anglii młody ordynat Krasiński, który podjął istną pielgrzymkę do przyjaciela swego dziada, p. Henryka Reeve, przywiózł z sobą plon wieńczący sownie daleką podróż, gdyż wierny przyjaźniom młodości szlachetny Anglik, ustąpił wnukowi troskliwie dochowanej korespondencyi z „beziemiennym poetą“ darząc wnuka jego około stu pięćdziesięciu listami

rzucającym nowe światło na wczesny peryod życia Zygmunta Krasińskiego. Nieoceniony to przyczynek do biografii wieszczki, przygotowanej już w tej chwili przez Stanisława hr. Tarnowskiego.

Literatura choleryczna, rozprawy o istocie zarazy i sposobie jej zwalczania są na porządku dziennym, i głównie lekarze poznańscy wystąpili z praktycznymi podręcznikami, które stawiają szanse przeciw groźnej a zbliżającej się epidemii. Zalew czasopism nie przestaje być obfitszym w liczbę, aniżeli w treść, przeważnie ubogą.

Teatr nasz wędrownie w ciągu lata rozpinał namioty, docierając aż do nadmorskich Sobot, gdzie zjazd kąpiących się gości coraz rośnie i ożywia tę sympatyczną rybacką osadę, która bliskością Gdańska i Oliwy, sąsiedztwem tak ciekawej etnograficznie Heli, i mnóstwem dokoła krzyżackich lub innych pamiątek, przerasta inne nadbałtyckie stacje kąpielowe i usprawiedliwia znaczny swój rozwój. Wogóle spózwadnictwo między górami a morzem wypadło na korzyść tego ostatniego, i nierównie więcej osób spośród nas podąża orzeźwić się w słonej fali, aniżeli w górach letnie podejmować wycieczki. Mieszkańcom równo lepiej odpowiadają bezbrzeżne morze przestrzenie, ciasno im i duszno wśród złomów granitu i piętrzących się skalistych zrębów. Jedno Zakopane szczególnego dla naszych ziemian nie utraciło uroku.

Książki wydawane w mniejszych miastach często uchodzą baczności recenzentów, a ztąd i czytelników nie pozyskują wcale, albo tylko garstkę. Wyszy świeżo w Głogowie pamiętniki niejkiej pani Schober-Gumpert, które wciąż potracają o znajome nazwiska i zajmujące osobistości. Córka nadwornego lekarza Księcia Namiestnika Radziwiłła, towarzysząca jego córce, później ochmistrzyńni jego wnuczce, pani Schober Gumpert dużo widziała, dużo zapamiętała — i ztąd jej skromne wspomnienia szczególną mają wagę. Autorka prostuje fałszywe szczegóły urosłej w legendę idylli królewskiej. I tak pani Schober-Gumpert stanowczo zaprzecza utartemu mniemaniu, jakoby przedwczesny zgon pięknej Elizy miał być skutkiem zawodu serdecznego. Przeciwnie, wbrew zbpewnieniu, iż po rozerwaniu swych królewskich zaręczyn wycofała się ona ze świata i pogrążyła w niemej i rozpacznej melancholii, autorka przypomina wielką jej artystyczną i miłosierną działalność, ożywienie jakiego udzielała rodzinnemu kołu, nareszcie udział, jakiego brać nie przestała w zabawach i balach pałacu namiestnikowskiego. Jeżeli jako „Peri“ ze sławnego angielskiego poematu *Lalla Rookh* zdobyła sobie była serce dziedzica królestwa, już oddawna był on uległ państwowej konieczności, gdy piękna Eliza ponownie czarowała uczestników wielkiego w Poznaniu balu kostyumowanego, na którym wystąpiła jako „Ondyna“. Uroda jej głównie się zasadzała na wdzięku w ruchach, na łagodnym uroku powłóczystego wejrzenia, wreszcie na włosach o niepochwytnym odcieniu złotawo-popielałym. Zamiast pogrążyć się w beczynnej rozpacz, hartownie wychowana dziewczica po-dawnemu wypełniała dni swe pracą i sztuką. Ślicznie rysowała, a zręczne jej ręczki mnożyły udatne fanty na każdą miłosierną loteryę, której dostojna przewodniczyła matka. Śpiewała i grała na fortepianie, uczestnicząc w rodzinnych koncertach, pod kierunkiem ojca nabierających istniejącej artystycznej wartości. Autor muzyki do *Faust'a* zamilowanie do muzyki i talent rzetelny przelał w swoje dzieci, głównie w syna, Ks. Władysława, którego niebawem suchoty porwać miały rodzinie. Pielęgnując ukochanego brata, księżniczka Eliza zaraziła się niedającą pardonu chorobą i niebawem za nim poszła, w ośm lat po zerwaniu z księciem Wilhelmem, które stało się już w r. 1826, kiedy Eliza Radziwiłłówna dopiero w 1834 r. spoczęła w grobach rodzinnych w Antoninie.

Pani Gumbert Schober przytacza szczegóły, świadczące o roznym wychowaniu macierzystem, jakiego księżna namiestnikowa (z domu Ludwika ks. Pruska) udzielała swoim dzieciom. Ona-to w ich dusze wpajała prawdy wiary, ona im dawała przykłady pracy.

Nieraz sukienki córek jej własną robotą bywały

ozdabiane. Tak pilnie czuwała, aby próżność do-
stępu nie miała do młodych serduszek, iż la-
lek, służących do zabawy jej dzieci nie pozwala-
ła stroić i przebierać. Wszystkie zarówno mu-
siały być odziane w zwykłe suknie dziatwy
szkolnej, z szarego płótna, ażeby nie wzbudzać
żadnej namiętności do gałganków i wstążeczek.
Uderzył nas ten rys, godzien rozważenia i zastoso-
wania. Jakiemże to byłoby dobrodziejstwem,
gdyby wyrzucono nareszcie lalki elegantki, które
uczą dziewczynki dbać o stroje i mody! Inny
znów szczegół wychowawczy, po dobrej zapewne
i mądrej odziedziczony matce, przywodzi pani
Gumpert-Schober, opowiadając o młodych latach
śp. ks. Romana Czartoryskiego i jego rodzeństwa,
gdy córka księżny Ludwika, Wanda, jeła z kolei
wedle wskazówek matczynych własne wychowy-
wać dzieci. Nie oddawano im w ręce ulubionych
zabawek, dopóki nie spełnili jakiego codziennego
zadania, nie zgrabili np. w ogrodzie pewnej
ilości suchych liści. Zabawa zbiorowa miała być
nagrodą pracy i trudu.

Doskonały ten przykład czerpiemy z dość ob-
szernej książki pamiątek, trochę szumno-brzmia-
co zatytułowanej: *Unter fünf Königinnen und drei Kaisern*.
Wśród gawędki starej kobiety, popisującej się
chętnie wysokimi stosunkami, niemało znaleźć
można zajmującego plonu, z którego kilka ziarn
czytelnikom „Bluszczu“ podajemy, napomykając
nawiasowo, iż nieznana nam autorka, pani Scho-
ber-Gumpert jest jedną z ulubionych w Niem-
czech powieściopisarek dla młodego wieku i że
się zastawia pochwałą kanonika Schmidta, którego
niezrównane powiastki kołysały fantazyę dzie-
ci starzejącego się już dziś pokolenia.

Niepamiętne tegoroczne upały i tutaj dały się
powszechnie we znaki. Najstarsi ludzie nie pa-
miętają podobnych skwarów, a susza niejednego
rolnika o znaczne przyprawiła straty. Kartofle,
na które liczone, zawiodły, a niskie ceny ziemiop-
łodów nie rokują korzyści. To też położenie
właścicieli ziemskich coraz trudniejszym się sta-
je, i nie można kamienować tych, którzy ojeo-
wiznę z rąk wypuszczają, bo zbyt często jest to
wynikiem ogólnego przelomu, ciężącego nad ni-
kającą powszechnie większą własnością. Parcelła-
cja daje obu stronom ratunek, zabezpieczając
był dotychczasowych posiadaczy gruntu, i przy-
kuwając do gleby lud, kuszony ochotą dale-
kich wędrowek, których się wyrzeka, skoro po-
siądzie własnej ziemi kawał. T. zw. gospodar-
stwa *rentowe* dają jedyną drogę wyjścia z opła-
kanego położenia i zawikłań chwili, a byle się
szczęśliwie rozwinęły i przystosowały do potrzeb,
będzie to jeszcze najskuteczniejszy wał obronny
przeciw społecznej zarazie: zmniejszy on proleta-
ryat, zwiększy zaś zastęp ziemian na wła-
sny osiadłych zagonie. Wzrost trzeciego stanu,
który do coraz większego dochodzi znaczenia i
lepszego też bytu, skutkiem uczciwej i rozumnej
pracy, jest także jednym z tych szanów, które
nas ubezpieczają od moralnych zaraz.

Skutkiem zmiany opodatkowania gruntowego,
normującego się dziś wedle przyznanych docho-
dów każdego poszczególnego właściciela, dość
ciekawe ujawniły się fakta. Wyszedł właśnie
spis najbogatszych posiadaczy ziemskich w siedmiu
wschodnich prowincjach Prus. Rej tu wiedzie
książę na Pszczynie, Herzog von Pless, panujący
nad olbrzymim ziem obszarem, bo przeszło 70.000
hektarów — z górą sto mil kwadratowych geogra-
ficznych. Po nim idzie ks. Wilhelm Brunświcki.
Nie brak u nas kobiet spózwadniczących z męż-
czyznami we wzorowym zarządzaniu majątkami
i gospodarowaniu na roli. Gdyby kto chciał zro-
bić statystykę, wykazałoby się niezawodnie, iż
niejedna włość rządnością swęj pani podniosła
się znakomicie i oczyściła z długów i ciężarów
zostawianych wdowie przez męża. Nie darmo
powiedzianem, że żona trzy węgly domu stanowi.

MANI J A K

CHARAKTERYSTYKA

przez

Helenę Cajsynger.

(Dalszy ciąg).

— Ot misterya jakowaś — powiedział do żony. —
Nie sądzę, bo mi i wymówkę za to ksiądz zrobił,
ale tak myślę, że nie jest to złe, jeśli serce jak
na dloni, a co na ustach, to w myśli.

— Nie sądzisz, a sądzisz — zauważyła matka.

Parę dni, jakie upłynąć miały jeszcze do owych
dwóch uroczystych aktów, upłynęły w wielkim
zamęcie domowym. Przez ten czas Tomasz prze-
siedział samotnie w swoim pokoju. Kilka razy
widział u niego ojciec w ręku tablice drukowane,
cyframi zapelnione, i zapytywał: co to jest, a do-
wiedział się z krótkiego objaśnienia, że to jakies
tablice logarytmowe. Że zaś stary szlachcic do-
brze już był zapomniał, co są logarytmy i do czego
służą, więc i zapytanie i odpowiedź z pamięci
zgubił. W wigilię tylko ślubu dzieci wszedł do
pokoju Tomasza a, nie zastawszy go tam, pomi-
mowoli rzucił okiem na rozsypane ćwiartki zapi-
sanego papieru. Włożył okulary i przeglądał
poustawiane pozycye, a jakkolwiek śledczego u-
mysłu nie miał p. Ignacy wcale, to przecież cy-
fry mówiły tutaj za siebie same i objaśniały
wszystko.

Były tam obliczenia dochodów od 30.000 rubli
za dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lat, z pro-
centem składanym po pięć, sześć, siedm i ośm od
sta. Te trzydzieści tysięcy rubli — to była właśnie
summa, przypadająca z działów Tomaszowi, którą
on miał za miesiąc odebrać, resztę stanowiły,
oczywiście, przyszłe dochody tego milionera
in spe.

Nie powiemy, żeby to odkrycie miało na ojca
przyjemnie oddziaływać. On sam pracował życie
całe, oszczędzał, ale nie dla siebie; zawsze miał
na widoku dzieci tylko. Kalkulacya Tomasza
wobec postanowionego celibatu zmroziła go, bo
traciła gromadzeniem namiętnem dla gromadzenia,
czego natura szczerza i otwarta pana Ignacego
zrozumieć nigdy nie mogła.

— Ot! i masz jejmość całą tajemnicę — powie-
dział do żony z goryczą. — Jakże on się biedak
tak usprawiedliwiać nie miał przed rodzeństwem,
ze swojej niemożności służenia im na przyszłość,
kiedy to widać u niego w chorobę już przeszło?

— Patrzaj-że, moja droga — mówił ze smutkiem,
pokazując jedną taką zabraną kartkę — patrzaj-że,
wszak to robota manijaka?

— Męczysz siebie, a gdyby on tu dłużej miał
zostać, zamęczyłbyś i jego, a jednak ostrzega cię
człowiek, którego prawość znana i którego cenisz.
Czy ci tego mało?

— Ale bo... jeśli jest w tem coś seryo, to dla-
czego kryje się przed nami?

— Słyszałam o ofiarach, które ludzie wyjątko-
wi robili z całego życia. Jeśli to jest jedna z ta-
kich, to może, aby zupełną była, zrobił i on ofiarę
z ludzkiego uznania i współczucia.

— Może być, że tym razem odgadła go matka;
co do ojca, ten po-swojemu kiwnął ręką niechętnie
i wyszedł.

Po gwarze dni ostatnich zabierał się Tomasz
do powrotu. Przygotowany już był teraz zupeł-
nie, że przez życie przejść będzie musiał bez ża-
dnych ze strony ludzi dowodów współczucia. Za-
chęcić, pociągnąć, mogło jedno tylko powo-
dzenie w rozmiarach dla jednostki dostępnych;
a jakże do niego było daleko, jaka droga wiodła
do celu, i czy w ogóle ten cel, do osiągnięcia był
możliwym? Smutnie zapowiadało się, w każdym
razie, dla niego życie, bo przeszkody, trudności,
walki, i to najprzykrejszego rodzaju, przewidy-
wał niezlizcone, a nie lada też sił trzeba było, że-
by się oprzeć przewidywanym popędem serca,
w pewnych zaś warunkach występowała niechęć

ludzka, którą wytrwała obrona zrodzić musiała koniecznie.

Rodzinę pożegnał Tomasz z wielką serdecznością, ale ta rodzina, z różnych powodów, nader rozmaicie odwzajemniała mu jego uczucia. Brat i siostra, świeżo w ostatnich dniach zaślubieni, mało się nim zajmowali, bo i czem dla ludzi, w tem położeniu, może być brat? Młodsza siostra ani przeczuwała tego całego procesu wewnętrznego, jaki się w nim, z taką męką i pracą dokonywał; ojciec przestał się wprawdzie dąsać, ale był widocznie smutny, i Tomasz nie łudził się bynajmniej, żeby tego smutku nie on miał być powodem. A matka? Ta jedna, ona jedna pewną była, że droga życia tego szlachetnego i czystego, a tak ukochanego jej dziecka, o którym nigdy nie wątpiła, prowadzić je będzie do celów uczeiowych, godnych uznania rozumu, a opromienionych uczuciem miłości dla ludzi. Nie dociekała, nie badała — wierzyła.

Na kilka godzin przed odjazdem przyszła do jego pokoju; był sam, a był smutny bardzo. Wzięła tę zadumaną głowę w swoje ręce i spojrzała mu w oczy.

— Dobrze rozważyłeś, coś postanowił? — zapytała.

— Myślałem o tem nieprzerwanie, odkąd mnie cierpienia moje do tego zmusiły.

— I przekonany jesteś, że nie gonisz żadnej mary, która tobie zabierze życie, a drugim nie wzamian nie przyniesie?

— Jeśli będę mógł wytrwać, to pożytek niezaprzeczony i niepośledni.

— A więc niech ci Bóg szczęści, a cokolwiek bądź zamierzasz, miejże moje błogosławieństwo na tę drogę i moje modlitwy o powodzenie w życiu!

Tomasz podziękował z głębi serca; potrzebował istotnie tej wiary i tych modlitw, i tego krzyżyka macierzyńskiego.

Odjechał.

II.

Pan Tomasz spełniał teraz gorliwiej jeszcze, niż przedtem, obowiązki do powołania, które sobie obrał, przywiązane. Rozpoczęła się nareszcie długo marzona robota: ożywiało go to, odmładzało, a wraz z rachunkiem przewidywanego wzrostu mienia, liczył też i przypuszczalną długość swego życia, ze względu, że jedno z drugim w najściślejszym związku pozostawało. Wiedział również napewno, że zaczynać od początku niktby nie chciał: ztąd przyszedł do przekonania, że na jego życiu zależy teraz wiele, i postanowił gospodarować roztropnie całym jego zasobem.

— Jak tu i radzić sobie? — biedził się pan Tomasz z myślami własnymi. — Juściż samo z siebie wypada, że przedewszystkiem zbierać i umiejętnie powiększać powinienem, ale chyba godziłoby się, z tego, co zarabiam, — także coś oszczędzać. Istota ludzka jest nader złożona, a potrzeby ma nasza egzystencya bardzo różnorodne. Z drugiej strony, chcąc się choć w części jakiejś dopasować do tego, co mnie otacza, trzebaby skaleć wydatków osobistych koniecznie rozszerzyć, co będzie niedobre. Zamknę się, odosobnię całkowicie, to znowu inne zło grozi z tej strony; stetryczeję, zaczerpnę jakiej choroby nieuleczalnej i termin zakończenia swych zabiegów własnowolnie skrócę, czyli innemi słowy: męka będzie daremna, bo wszystko na nic. Obierzmy drogę pośrednią.

Jako obrał ją w rzeczy samej; nakreślił sobie programat z życia, a było tam wszystko naprzód ułożone i postanowione. Znalazło się nawet miejsce na pewne ekstrawagancje, które przewidywanemu, wskutek jednostajności, zastojowi, przeskadzać miały. Było tedy projektowane i obcowanie z ludźmi, i rozrywki nawet, wszystko to, po prawdzie, zanadto odmierzone i odważone, ale...

— Cóż istota ludzka może zrobić doskonałego? — mówił sobie pan Tomasz na pociechę.

Co do stopy procentowej, to i sam długo o niej rozmyślał i proboszcza swego się radził. Obaj uznali, że w warunkach miejscowych ośm odsetków nie będzie nadużyciem żadnem, zwłaszcza w okolicznościach danych. Kiedy pan Tomasz pierwsze swoje odsetki odebrał, i napowrót na tychmiast je wypożyczył, przyszła mu myśl: czy

nie godziłoby się ztąd jakiegokolwiek kwoty ku ulżeniu ludzkiej niedoli obrócić? Wyszedł zwycięzko z tej pokusy, powiedziawszy sobie surowo: „Ładnie chcesz zaczynać, niema co mówić! Chce ci się być filantropem, to zajrzyj do własnego grosza, i odmów sobie czego z potrzeb codziennych.“

Zakłopotala go następnie myśl sama, że ową zachciankę dopuścił do głowy; zdawało mu się, że nie dorósł do zadań życia, kiedy tak niedość nie utyka w wykonaniu, od pierwszej zaraz chwili. „Gdzie-to takim ludziom niezupełnym, których dobre chęci rozstrzelone są na wszystkie strony, poczynać co znacznego! Skłębieni jesteście wszyscy i do niczego żaden z nas nie dojdzie.“

A tu znowu tak był zadowolony i lekki, że już przecie wstąpił na ową długo marzoną drogę, iż się koniecznie Opatrzności a więc ludzkiej, czemkolwiek wywdzięczyć potrzebował. Jak przeznaczenie zaszedł mu drogę dawny kolega szkolny, który z miną skwaszoną, obładowany ciężką teką, pełną papierów, mijał się z nim, w przedsionku gmachu sądowego. Była nawet jakaś pomiędzy niemi sympatya, ale do bliższych stosunków nie przyszło nigdy. Tym razem pan Tomasz sam zaczął przechodzącego, po niepoczesnej minie jakiejś trapiącej dolegliwości się domysłając.

— Co ci jest, kolego? Jakoś ci z oczu nie wesoło patrzy.

— Lichaż tam i może być wesoło.

— A no, czego ci brak?

— Właściwie mówiąc, niby nic, a to, co dolega i męczy, to są rzeczy, których wy, panowie, coście uniwersytety kończyli, i wolno wam było obracać sobie zawód wedle chęci, zupełnie zrozumieć nie potraficie. Mój, to mi już co prawda, tak dojadł, że chyba rzucę wszystko.

— Zawsze komornikiem jesteś?

— A toć o to, a nie o co innego chodzi. Człowiek, widzisz, mój kolego kochany, sam ma zdrowie liche, żonę nie bardzo mocną, a dzieci kilkoro, a tu jakby na uproszenie błogosławieństwa Bożego dla tych domniemanych sierot, traduje się, spizdaje i wywłaszcza codzien wszelaką nędzę, tak, że wierzaj mi, życie cięży coraz bardziej.

— Prawda — powtórzył w zamyśleniu pan Tomasz — to nie dla ciebie była taka robota. I gdzież teraz idziesz?

— Uśmiechnął się smutnie dręczyciel ludzki z musu.

— Gdzie ja idę? Tam gdzie zawsze. Mam trzy licytacje: jedną na Rybakach, dwie na Mostowej ulicy. Wartość ruchomości we wszystkich trzech miejscowościach, kilkudziesięciu rubli nie przynosi, a leż i niedoli ludzkiej setkami tysięcy-byś nie opłacił. Niech Pan Bóg zachowa każdego od udziału w tej robocie!

Pan Tomasz, choć to nie jego była droga, szedł wciąż z komornikiem, aż go o cel tej wycieczki ku ubogim dzielnicom miasta sam kolega zapytał musiał; on tymczasem czuł, że go pali w kieszeni wzięta wczoraj miesięczna pensya, tembardziej, że było prócz niej i coś grosza zapasowego w domu, szedł więc, dumając, a nie wiedział dobrze, co począć. Milczeli teraz już zresztą obaj, aż go na ulicy Mostowej, przed domem, na którym przybita była biała karta z obwieszczeniem o licytacji, komornik żegnać począł.

— Zaczekaj-że wejdę z tobą; zobaczę jak ty to robisz — mówił pan Tomasz.

— Szczególniejsza ciekawość — myślał tamten. — Prawdziwie, że człowiek to strasznie drapieżne zwierzę. Ten oto tuczy się, a dla rozrywki potrzebuje od czasu do czasu usłyszeć, jak też to nędza skwierczy. Widać mu to do trawienia potrzebne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu pewne kółko kobiet zamierza wytworzyć niewieście towarzystwo wstrzemięzliwości.

— Petersburgskie Towarzystwo wolno-ekonomiczne naradzało się nad sposobem podniesienia w Rosyji hodowli drobiu. Zostały tu zawezwane do narady kobiety, jako znaczynie w tej gałęzi gospodarstwa kobiecego.

— W siedmiu bezpłatnych szwalniach, utrzymanych przez Warszaw. Tow. Dobroczyńności, pracowało w ciągu roku sprawozdawczego 1.030 dziewcząt ubogich, kształcąc się do zawodu szwaczek.

— Siostry Miłosierdzia utrzymują w mieście naszym biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej. Ogłaszając w *Przeglądzie Katolickim* sprawozdania z tej pożytecznej pracy swojej, podają tam nazwiska rzeczywiście biednych, zasługujących na litość publiczną, dołączając addressa ich mieszkań.

— Z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej udzielono wsparcia trzem ubogim nauczycielkom po rs. 10, oraz czterem szwaczkom po rs. 12. Właścicielom aptek, wydającym bezpłatnie lekarstwa dla ubogich, wypłacono 144 rs.

— P. Marya Słonczyńska otworzyła przy ulicy Złotej szkółkę freblowską dla dzieci, której będzie kierowniczką.

— Ośm pań ziemianek, złożywszy każda po 1.300 rs., zawiązały między sobą spółkę z celem założenia fabryki serów w Rejowcu, w okolicach lubelskich.

— P. Alexandra Kubyszewska zważywszy, że na Pradze, liczącej 30.000 mieszkańców, niema ani jednego wyższego zakładu nauczania dziewcząt, że zatem rodzice posyłać muszą córki do Warszawy, co szczególnie w zimie jest rzeczą uciążliwą, zakład taki otworzyła po odbytych akcie poświęcenia lokalu przez miejscowego kapłana.

— Szesnastoletnia p. Czarnecka, córka rodziny ziemiańskiej z gub. Płockiej, bawiąc tego lata z rodzicami na Norderney, uratowała życie małego, siedmioletniego chłopczyka, który, kąpiąc się w morzu, posunął się poza linię kąpielową i już tonąc zaczął, gdy odważne dziewczę pośpieszyło mu na ratunek z niebezpieczeństwem własnego życia. Był to synek miejscowego urzędnika, von Schwalbe; rodzice uratowanego dziecka dziękowali wybawczyni jego gorąco, obecnie zaś wiadomą została drogą urzędową, że przedstawiona do medalu za ratowanie tonących, otrzyma wkrótce tę zaszczytną oznakę.

— Nową szkołę śpiewu otworzyła w Wiedniu na Frankenberggasse, Róża Papier, śpiewaczka słynąca z dobrej metody i wyrabiania głosu uczennic.

— Związek kobiet niemieckich: „Allgemeiner deutscher Frauenverein“, którego głównem siedziskiem jest Lipsk, zajął się wydaniem zbioru praw, które w Niemczech obowiązują kobiety, a to w celu, aby ta kobieta poznała dokładniej obowiązki swoje w stosunku do społeczeństwa, i zarazem wiedziała, jakie prawa przysługują jej jako obywatelce, córce, żonie i matce. Emilia Kempin, która studyowała niegdyś prawo i ma przyznaną tu sobie godność doktora, dokonała tego, zebrawszy wszystkie przepisy dotyczące kobiety niemieckiej i ten to zbiór, ułożony przez nią z odpowiedniami komentarzami, wyszedł właśnie z prasy drukarskiej; aby zaś mógł być przystępnym dla szerszej publiczności, cena jego jest 20 fenigów, co pokryć może zaledwie koszta druku i papieru bez żadnego wynagrodzenia za pracę ułożenia książki. Na skład przyjęła wydawnictwo to bezinteresownie kobieta także, Jadwiga von Alten, u której przyjmowaną też była prenumerata, i jeszcze przed wyjściem książki zapisano się tam na 6.000 egzemplarzy. Gałąź tegosamego stowarzyszenia urządziła w Monachium trzyletnie kursa handlowe dla kobiet. Uczęszczają na nie przeważnie panny niezamężne z klas społeczeństwa inteligentnych, obznajamiając się z prowadzeniem ksiąg i korespondencyi handlowej, ucąc się obok tego języka francuzkiego, angielskiego i włoskiego. Związek ma swoją główną agencya w Monachium, przecież rozsyła uczennice swoje po całych Niemczech, i dlatego ma urządzoną agencya drugą w Karlsruhe.

— Angielska siostra miłosierdzia, siostra Emma, pilnując Tennysona w czasie jego ciężkiej choroby, otrzymała jako wynagrodzenie za trudy swoje

200 funtów sterlingów, oddała przecież całą tę znaczną już sumę zakładowi emerytalnych pensji dla sióstr jej zgromadzenia.

— Miss Urania Lathom ustanowiła stypendyum 50 funtów dla studentki szkoły medycznej w Londynie, otrzymującej patent lekarski ze stopniem najwyższym. Angielki czynią znaczne zapisy na tę szkołę, której znaczenie, szczególnie w zakresie leczenia kobiet z klas ludowych, uznaje cały ogół angielski.

— Mrs Gladstone czyniła wielkie ofiary na londyńskie szpitale w czasie ostatniej grasującej w Anglii cholery, a zarazem zgarniała miłosiernie sieroty pozostałe, mieszczać je swoim kosztem w przytułku, wzniesionym na ten cel w miejscowości Despang Forest. Obecnie pani ta podejmuje podobne dzieło miłości bliźniego, rozciągając pieczę nad rodzinami, którym bieda nie pozwala na potrzebne środki ostrożności. Wspomaga i zarazem naucza, przekonywa, jak należy zachować się w czasie panującej epidemii. Matki rodzin zaklina na miłość męża i dzieci, aby jej słuchały.

— Dr Corner, lekarz, będący członkiem londyńskiej rady zdrowia, zażądałaby kobiety zostały dopuszczone do urzędu lekarzy miejskich, dowodząc, że tylko przy pomocy kobiet lekarzy, zajmujących się stanem zdrowia ubogich rodzin, można zaprowadzić wśród tych warstw ludności środki zapobiegającej złemu ostrożności. Według jego zdania, kobieta-lekarz, kobieta-inspektor zdrowia, potrzebna jest bardzo dla klas ludowych przez wpływ, jaki potrafi wywrzeć na matki rodzin, przemawiając do nich jak kobieta do kobiety poufalej i wdając się w szczegóły, gdy mężczyzna najstaranniej traktuje zwykle rzecz ogólnie. Doświadczenie potwierdza to zdanie; miasto Glasgow posiada zawsze sześć kobiet inspektorek i stan zdrowia ubogich rodzin ludu jest tam w stosunku do miast innych przewyborny: „admirable.“

— Angielka, zamieszkująca Londyn, miss Day, ułożyła i ogłosiła drukiem kurs nauczania dziewcząt głuchoniemych pisaną za pomocą maszyny. Przechowywanie rękopisów jest szczególnie odpowiednim dla nich zajęciem zarobkowym.

— W Paryżu, w Palais de l'Industrie, otwarta wystawa sztuki kobiecej jest właściwie wystawą tego, co kobieta francuzka prześle na wystawę w Chicago. Dzieli się ona na dwa oddziały: sztuki tegoczesnej i historycznej, dokładniej zwać się powinna mniej wystawą sztuki, niż przedmiotów, służących do użytku kobiety. Wystawa dzieł malarzkich kobiet, zwłaszcza akwarelli i portretów, jest rzeczywiście godną widzenia, mieści bowiem wiele niepospolitych okazów, ale poza tym działem sztuka znika, zostawiając całkowicie miejsce przemysłowi, zwłaszcza ozdobnemu, który służył kobiecie. W pierwszym oddziale znajdują się przedmioty używane przez kobiety, szczególnie do stroju, i tu znajduje się panorama w siedmiu okazach, przedstawiających Paryżankę XIX wieku, przedstawiona przecież w części znacznej na portretach i sztychach starych, budzi interes wyższego znaczenia. W dziale przedmiotów, służących do użytku kobiety znajduje się lornetka Maryi Antoniny i koleżki cesarzowej Józefiny.

— Na 3.000 osób, nauczających w publicznych szkołach elementarnych w Chicago, jest tylko 190 mężczyzn. Amerykański korespondent do jednego z pism angielskich uważa to za rzecz niewychodzącą na użytek ogółu; nauczycielki kończą zwykle nauki bardzo wcześnie i młodemi jeszcze dziewczętami oddają się nauczaniu, poza którem same się już nie kształcą, zapadają też wkrótce w stan, wytwarzający z nich rutynistki, po większej części pracujące, ale pracujące mechanicznie. Mężczyzna mniej temu podlega, żyjąc w wolnych od pracy chwilach więcej poza domem i stykając się z więk-

szą liczbą ludzi—z żywszym ruchem życia. Obok tego mężczyzna uczy się dłużej i ztąd nigdy tak młodo na posadę nauczycielską mianowanym nie zostaje.

— Od lat 25 od kiedy Ameryka dopuściła kobiety do słuchania wykładów uniwersyteckich, liczba słuchaczy zwiększa się stale; obecnie studjuje ich w różnych uniwersytetach i szkołach głównych 4.000.

— Młoda panna, Marya Johnson, urzędująca w waszyngtońskiej komisji skarbu przeliczyć potrzebuje dziennie około 75.000 sztuk złota, przy czem doszła do takiej wprawy, że poznaje pieniążek fałszowany przez wzięcie go tylko w palec. Kobiet urzędników jest w Ameryce bardzo wiele; miejsce pocztmistrzów zajmuje aż 6.335.

— Ewa Dominika Gillespie, w prostej linii prawniczka Franklina, pani bardzo już sędziwa, babcia licznego koła wnuków, jest nie tylko rozumna, mająca wpływ na młodsze pokolenia rodziny swojej, ale zajmuje ją dotąd „wszystko co ludzkie“, zajmuje ją zwłaszcza kraj rodzinny. Po wystawie powszechnej w Filadelfii w 1876 r. ona to stała się promotorką wzniesienia w tem mieście szkoły przemysłowo-artystycznej z oddziałem dla kobiet, następnie jej staraniem, a w znacznej części groszem, powstała szkoła kobieca rysunków: „Academy of Design for Women“ z oddziałem nauki medelowania. Jej też są dziełem miejskie szkoły gotowania dla kobiet, szkoły haftu, a wszystkie te zakłady, wzniesione jej staraniem, przedstawione zostaną na wystawie.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu odbędzie się z inicjatywy Towarzystwa rolniczego-ekonomicznego wystawa maszyn i narzędzi służących do suszenia ziarna nasiennego. Ministerjum dóbr państwa ogłosiło okólnik, zwracający się do wszystkich towarzystw i instytucji rolniczych, iż wszelkie podania w kwestyi potrzeb gospodarstwa rolnego uwzględniane będą wtedy tylko, jeżeli dołączone zostaną wymotywowane poglądy i dane statystyczne, dotyczące kwestyi.

— Urodzaj zboża na Kaukazie okazał się w tym roku bardzo wielki. Ilość zebranego zboża dochodzi stu dwudziestu milionów pudów.

— Kassy pożyczkowe dla rzemieślników, zostające pod opieką Warszawskiego Tow. Dobroczynności a założone jedenaście lat temu, utrzymują się pomyślnie, ale osłabło dla nich wsparcie w sferach, gdzie instytucja ta budzić je powinna najżywiej. Dawniej przy każdej takiej kasie znajdowało się kilku członków honorowych z pomiędzy panów majstrów, których zadaniem było sprawdzenie i poręczenie wiarogodności osób, żądających pożyczki, co obecnie już nie istnieje. Urzędnik administracji kas musi zatem sądzić tu wedle pozorów i często odmówi wsparcia ludziom najbardziej go potrzebującym.

— Grono osób dobrej woli postanowiło wskrzesić niedoszły do skutku przed kilku laty projekt towarzystwa opieki nad chorymi leżącymi w domach. Są to: Lud. Jenike, prof. Miklaszewski, Matyas Berson, Alexander Łapiński, Dr Rosenthal, prof. Kosiński, Dr Markiewicz, Dr Sztamer, adwokat Jasiński. Towarzystwo zamierza rozpocząć zaraz działalność swoją, skoro tylko otrzyma odpowiednie pozwolenie władzy.

— Biblioteka po Wacł. Maciejowskim, historyku, złożona na skład czasowy w magazynach

b. Banku Polskiego, ma być wkrótce wystawioną na sprzedaż przez licytacyjną z powodu, że od lat kilku zaprzestano opłacać składowe.

— Pomiedzy resztkami biblioteki klasztornej w Gidlach pod Częstochową znalazł jeden z archeologów naszych portret Krasickiego, malowany na pergaminie, w szafach biskupich.

— W starym modrzewiowym kościółku Ś-ej Barbary poza Wieluniem proboszcz wieluniński zwrócił uwagę na starożytny tryptyk, ozdobiony malaturą na drzewie szkoły bizantyjskiej. Parę lat temu prof. Łuszczkiewicz z Krakowa, zwiedzając Kalisz i jego okolice, znalazł tryptyk podobny w kościółku Ś-go Wojciecha na Zawodziu pod Kaliszem i uznał to za ważne dla sztuki odkrycie. Czy i tu nie powtarza się to samo?

— Z początkiem bieżącego miesiąca osoby pragnące uczęszczać do sal Muzeum Rzemiosł, znajdują je otwarte codziennie od 7-mej rano do 9-tej godziny wieczorem, z wyjątkiem świąt i Niedziel.

— W przeszłym tygodniu wyjechało do Kairu czterech warszawskich czeladników szewskich: Chądzyński, Łatkiewicz, Mirko i Bartłomiejski, a to na wezwanie majstra szewskiego Jana Burdykowskiego, który założył tam zakład szewski.

— Na konkurs dramatyczny Kuryera Warszawskiego nadesłano sztuk 37. Komisji konkursowej przewodniczy p. Kazimierz Kaszewski. Na czterech posiedzeniach odbytych zakwalifikowano do grania na scenie trzy sztuki: „Nauczycielkę“, „aktów cztery“, „Flirt“ aktów cztery; „I komar zje konia, gdy mu wilk pomoże“ aktów pięć. W miarę czytania i wydawania sądu komisji, sztuki odsyłane są dyrekcji teatrów warszawskich, która wedle układu zawartego z Redakcją Kuryera wystawiać je będzie na scenie Teatru Rozmaitości. Ostateczny wyrok sędziów zapadnie, jak wiadomo z warunków konkursu, dopiero po przedstawieniu wszystkich.

— Malarz Żmurko Franciszek urządzać ma wkrótce wystawę obrazów swoich, wykonanych w ciągu ostatnich dwóch lat. Wystawa będzie się mieścić w Resursie, obok portretów i dwunastu obrazów treści rodzajowej, piwsze miejsce zajmie wielkie płótno pod tytułem „Prawo feodalne“.

— Ostatni numer „Ateneum“ zamieścił list p. Zygmunta Wolskiego, który, pragnąc zebrać wszelkie szczegóły z życia Zygmunta Krasieńskiego, zwraca się do całej inteligentnej publiczności naszej z prośbą, aby osoby, które miały jakakolwiek styczność z poetą i coś wiedzieć o nim mogą, lub posiadają listy jego, albo też utwory dotąd nieznanne, oraz listy lub utwory jego przyjaciół, czy też dotyczących ich osób, a także portrety jego, lub jego przyjaciół—zechiali mu o tem donieść. Adres: w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście N-r 5.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 8 tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby, przekład z angielskiego.

Dla prenumeratorów na prowincyi dołącza się do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ ogłoszenie **Francuskiej szkoły kroju (M-me Mercère)**.

TREŚĆ: Kształcenie kobiety, przez M. I.—Pogawędka, przez Quisa.—Wieczór, przez Mortana (wiersz).—Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicz. — Korespondencya zagraniczna. — Maniak, charakterystyka przez Helenę Cajszynger (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Ranne ubranie dla małych dzieci (robota szydełkowa).

Rycina Nr 19 i 20 w Bl. Nr 39.

Materiał potrzebny: 16 gramm.

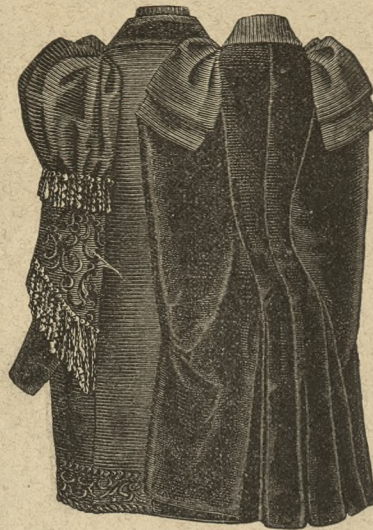
Ubranie dla dziecka złożone z spódniczki i kaftanika, wykonane szydełkiem białą gobelinową włóczką, częścią ścięciem tunetańskim a częścią zwyczajnym. Rozpocząć od lewego przedniego brzegu kaftanika na założeniu 43 ocz. i wykonać w poprzek ściąg tunetański. — 1 kolej ścięgu: 1 ścis. łańc. ocz. w następną poprzeczną żyłkę następn. ścięgu, 3 pow. ocz., 5 o. zebrać a mianowicie: 2 pierwsze z 2 i 1 o. poprzednich 3 pow. ocz., o., 3-cie o. z żyłki, w której przerob. 1 śc. ocz., ostatnie 2 o. z następn. 2-iej poprzecznej żyłki, zebrane na szydełku 1-m o. przerob. * 5 o. zebrać a mianowicie: 1 z żyłki znajdującej się po nad przerobionym o., 2 oczko z tylnej żyłki ostatnio zebranego 5 o., 3 oczko z żyłki, z którego to o. było zebrane i ostatnie 2 o. z następn. dwóch żyłek; zebrane na szydeł. przerob. 1 o., od * powtórz. Następnie ściąg 2 sposobem tunetańskim, przyczem należy nową nitkę założyć. Wykonywać robotę tylko do tylnego środka jeszcze 11 ściągów czyli rządów deseni (ciągle naprzemian powyżej opisaną kolej i dwa rzędy ścięgu). Zwrócić uwagę na wycięcie szyi w 1 i w 2 powtórzeniu, przy zakończeniu kolei, oraz przy zakończeniu kolei idącej tam. Na paszki należy w 2 deseni na 33 o. wykonywać robotę a resztę pozostawić nietkniętę; w końcu przy zakończeniu 1 kolei 6-go powtórzenia, należy nanowo założyć taką samą liczbę oczek jak pozostawiono nietkniętę, i napowrót na zbiorowych oczkach wykonywać robotę. W 9 i 10 powtórzeniu, przy rozpoczęciu powrotnej kolei każdego wzoru należy dla wycięcia szyi 2 o. razem odczepić. Po zakończeniu drugiej połowy należy połączyć rząd o. 3 i 8 powtórzenia aż do pachy ścięciem obrzucanym. Rękaw rozpocząć na założeniu 33 o. i wykonać na tychże 10 wzorów ścięgu, ale dla uwydatnienia formy, należy w spodniej części ujmować w 2, 4, 6 i 8 wzorze a 1 kolej 3, 5, 7 i 9 wzoru nie do dolnego brzegu wykonywać, ale 11 o. pozostawiać nietkniętych. W 1 kolei, którą znowu na zbiorowych wykonywać o. ciągle przerabiać razem żyłki poprzedniego wzoru z następn. po tychże w sposób, ażeby nie utworzyć wielkiego otworu dolnego rękawa. Uważać jeszcze należy, ażeby w pierwszych czterech wzorach deseni po stronie znajdującej się przy paszce, w każdym wzorze wykonanym ścięciem tunetańskim przybrać 1 oczko a w ostatnich 4-ch 1 oczko ująć. Oczka ostatniej kolei połączyć od spodu ścięciem obrzucanym i wszycie rękawy, następnie dolny brzeg otoczyć dwoma kolejami ścis. o. i wyko-

nać koronkę jak następuje: — 1 kolej: * na muszkę 3 oczka przedzielone nitką założenia zebrać i 1 oczko przerobić; 4 słupki, których środkowe 2 przedzielone 2-ma powietrznymi oczkami w żyłkę 2-go z rzędu następnego oczka, 1 oczko opuścić, od * powtórzyć. — 2 kolej: ciągle naprzemian: 1 muszka w żyłkę następną muszki poprzedniej kolei, 4 słupki przedzielone 2 powietrznymi oczkami w środkowe 2 powietrzne oczka następnych 4-ch słupków. — 3 kolej:

* 1 ścisłe oczko w następną muszkę, 1 powietrzne oczko, 4 słupki rozdzielone pikotem (czyli 3 powietrzne oczka i 1 ścisłe oczko w słupek przed temż znajdujący się) w następnie 2 powietrzne oczka, 1 powietrzne oczko, od * powtórzyć. Kolej ta przypada na przedni brzeg, oraz na wycięcie szyi, gdzie należy wykonać również rząd słupków na przewleczenie wstążeczki i dopiero wykończyć koronkę. Spódniczkę wykonać w poprzek na założeniu 57 oczek, ku górnemu brzegowi należy spódniczkę zwięzać i również wykonać rząd słupków na przewleczenie wstążki do wiązania. Dolny brzeg otoczyć koronką nieco szerszą, na co należy 2 kolej dwa razy wykonać a w ostatniej kolei zamiast 4 słup. przedzielon. pikotem wykonywać pięć.



Nr 3 i 4. Tylne części sukien do ryc. Nr 8 i 12.



Nr 5 i 6. Tylna część do ryc. Nr 7 i 15.

Patarafka pod wazon i t. p.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 39. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 72).

Patarafka 22 c. w kwadrat, wykonana na atlasie koloru zielonego, zaopatrzonego podkładem z muślinu. Haft wykonać według wzoru fig. 72 japońską złotą nitką, rozmaitej grubości sznurkami złotymi, oraz bajorkiem gładkim i karbowanym. Figury liściowe wykonać bajorkiem gładkim na podkładzie z bawełny i otoczyć takowe cienkim złotym sznurkiem. Tymże sposobem otoczyć figury wstążkowe a wypełnić je złotą cienką japońską nitką, ale sznureczek podług ryciny układać w pentelki i takowe wypełnić karbowanym bajorkiem. Wielkie koło, również otoczyć sznurkiem układanym w pentelki w odstępach 1 cent. i tych nie wypełniać. Preciki przecinające fig. wykonać każdy 1 kawałkiem bajorku karbowanego i dwoma kawałkami bajorku gładkiego, w końcu zaś otoczyć haft dwoma rzędami złotego sznurka. Zaopatrzyć patarafkę podszewką z materiału jedwabnego i otoczyć sznurkiem jedwabnym podług ryciny.

Koronka (robota szydełkowa).

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 39.

Koronka wykonana bawełną krętą Nr 50. Deseń jest bardzo wyraźny a wykonanie łatwe, nie widzimy więc potrzeby szczegółowego opisu.

Suknia z kaszmiru i aksamitu.

Rycina Nr 27 i 28 w Bl. Nr 39.

Suknia z kaszmiru koloru niebiesko-popielatego i z tegoż koloru aksamitu nieco ciemniejszego. Rękawy i napierśnik aksamitne, pół paska z sukna ułożonego w fałdy. Dolna część spódnicy gładka lub przybrana kardkami aksamitnymi podług ryc.

Kapotka ozdobiona haftem dla małej panny.

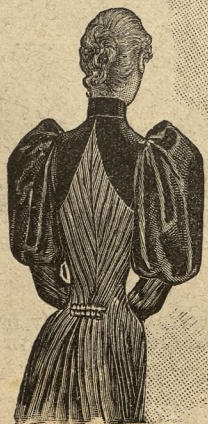
Rycina Nr 32 i 18. (Kr. pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 31—34).

Kapotka z materiału wełnianego koloru białego w paski tegoż koloru. Skrajać fig. 31 i 33 z białego muślinu podwójnie złożonego. Fig. 32 jedną



Nr 1. Suknia formą „princesse.“

Nr 2. Suknia z sukna ozdobiona sutaszem (do ryc. Nr 40 w Bl. Nr 39).





Nr 7. Paltot z sukna i aksamitu do ryc. Nr 5. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 37-45).

Nr 8. Płaszczek z angielskiego materiału i aksamitu ozdobiony marabout'em (do ryc. Nr 3).

Nr 9 i 10. Płaszczek przybrany futrem. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13-20).

Nr 11. Peleryna z materiału ozdobiona futrem. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 1-2).

Nr 12. Płaszczek z materiału „matelassée” ozdobiony futrem (do ryc. Nr 4).

Nr 13. Paltot z sukna ozdobiony futrem. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 44-49).

Nr 14. Pelerynka „Henri II” z sukna ozdobiona futrem. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 27-29).

Nr 15. Płaszczek z pluszu i repsu jedwabnego (do ryc. Nr 5).

M O D Y P R Y Z K I E.

część złożoną wzdłuż środka. Przyszyć do główki szlak haftowany białym jedwabiem ścięciem gałązkowym i rybiej łuszczyki podług fig. 34 i przedni brzeg fig. 33 ozdobić dzierganymi ząbkami i haftowanymi gwiazdkami podług ryc. Nr 18 naturalnej wielk. Połączyć fig. 31 z 32 od 63 do 64, przyczem należy przymarszczyć dno od † do †, kapelusik otoczyć paskiem z materiału wełnianego i do przedniego brzegu przyszyć falbanę 16 c. dług. a 3 c. szer. zważaną stopniowo ku bokom, układaną w kontratafady. Po kilkakrotnem zmarszczeniu na podkładzie z sznurka w równych odstępach, fig. 33, oraz tylnego brzegu, przyszyć do denka podług cyfr, oraz wzdłuż linii w sposób, ażeby przedstawić wielką buffę podług ryc. Dolny brzeg wykończyć falbaną podług ryc. i przyszyć wstążki do wiązania.

Pokrycie wachlarza (tiul przewlekany).

Rycina Nr 33 i 29 w Bl. Nr 39.

Rycina Nr 29 przedstawia część roboty wielkości naturalnej. Wykonać przewlekany ściąg rozmaitej grubości białym jedwabnym sznurkiem na białym tiulu, brzeg zaś zewnętrzny otoczyć dzierganymi ząbkami.

Pasek ze skóry.

Rycina Nr 34 w Bl. Nr 39. (Krój i deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 71 i 72).

Pasek ze skóry ciemno-brązowej, ozdobiony wyszyciem podług deseni fig. 70 i 71, kontury zaś otoczone sepią. Spięcie podług ryc.

Ozdoby pasmante-ryjne do sukien.

Rycina Nr 35 — 38 w Bl. Nr 39.

Ozdoby pasmante-ryjne, wykonane czarnym jedwabiem, oraz perełkami. Figury przedstawiają: napiersnik, pół paska, przybranie rękawa i szlaczek na stojący kołnierzyk.

Suknia w stylu „Empire“

Rycina Nr 42 i 24 w Bl. Nr 39.

Suknia z materiału jedwabnego koloru zielonego i z tegoż koloru aksamitu ciemniejszego, przybrana krepą różową i pasmanterią dżetową. Krój sukni formą „princesse“ zapinana z tyłu.

Plaszczyk z materiału wełnianego angielskiego i z aksamitu ozdobiony marabutem.

Rycina Nr 8 (do ryc. Nr 3 i 4).

Plaszczyk weinany do figury z materiału



Nr 17. Stanik w stylu „Empire“



Nr 16. Suknia z bengaliny i aksamitu.

wełnianego koloru brązowego, zaopatrzonej podszewką atlasową tegoż koloru. Kaftanik z aksamitu przybrany marabutem. Takież same przybranie wykończa całość podług ryc.

Przepisy gospodarskie.

Legumina z jabłek w pianie.

Sześć jabłek winkowatych, bo tylko takie są dobre do gotowania, obrać, wydrążyć, przekroiwszy na półki i obgotować we wrzącej wodzie. Z innych sześciu pokrajać drobno po obraniu zrobić marmoladę, sypiąc cukier dopiero wtedy, gdy dobrze rozgotowane. Połowę tej marmolady rozłożyć na blaszany lub stary porcelanowy półmisek, na nią ułożyć owe 12 połówek napel-nionych konfiturami, kładąc jabłkiem do dołu, a konfiturami ku górze, przykryć je drugą połową marmolady, ogładzić dobrze. Ubić pianę sztywną z czterech białek, sypiąc w nią, gdy ubita jedną pełną łyżką przesianego cukru, polać na jabłka, ogładzając nożem, posypać grubo tłuczonym cukrem z krawanami migdałami i wstawić do pieca na wyższą kondygnację, aby się dobrze zarumieniło. Na środku można położyć jeden duży smarzony owoc, morele, brzoskwinie lub renklody. L. C.



Nr 18. Stanik z kaftanikiem „Figaro.“

lę, a konfiturami ku górze, przykryć je drugą połową marmolady, ogładzić dobrze. Ubić pianę sztywną z czterech białek, sypiąc w nią, gdy ubita jedną pełną łyżką przesianego cukru, polać na jabłka, ogładzając nożem, posypać grubo tłuczonym cukrem z krawanami migdałami i wstawić do pieca na wyższą kondygnację, aby się dobrze zarumieniło. Na środku można położyć jeden duży smarzony owoc, morele, brzoskwinie lub renklody. L. C.

Obiad na Niedzielę.

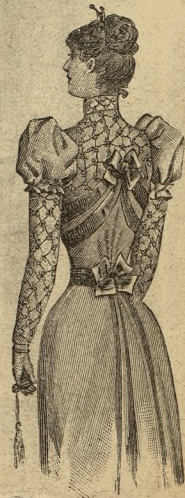
1. Zupa pomidorowa „purée“ bez śmietany.
2. Naleśniki z móżdżkiem.
3. Sztufada z garniturem z jarzyn.
4. Pularda z kompotem z gruszek.
5. Knedle ze śliwkami.

UWAGA. Tablica krójów objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym, dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu.“



Nr 19. Suknia wizytowa, koncertowa i t. p.

Nr 20. Suknia wizytowa, koncertowa i t. p.



Tyłna strona Nr 20.